

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Polska i mniejszości narodowe. — I. M.: Logika w polityce. — Ernest Łuniński: Optymiści i pesymiści. — Dr. Barcelins Parago: Dola i niedola demokracji polskiej. — Prof. Dr. Leopold Caro: Poglądy gośpoarcze i społeczne Waltera Rathenau'a. — Dr. Wacław Lednicki: Alfred de Vigny. — R. Centnerszwerowa: Z piśmiennictwa dla młodzieży. — Tadeusz Zieliński: Pieczęć Persefony (odcinek).

POLSKA I MNIEJSZOŚCI NARODOWE.

— „Jeżeli Polacy nie chcą mieć do czynienia z mniejszościami narodowymi, to powinni cofnąć się za linię Curzona“. — Tak podobno powiedział z powodu smutnych awantur dnia 11 grudnia jeden z przedstawicieli przyjaznych Polsce wielkich mocarstw. Inni jeżeli tego nie mówili, to z pewnością tak myśleli. Bo tak myśleć każe logika europejska: albo — albo. Albo Polacy chcą mieć państwo czysto narodowe, mieć parlament z samych polaków złożony i prezydenta nie „splamionego“ przy wyborze żadnym głosem obcoplemiennym, to w takim razie powinni zamknąć się w granicach etnograficznych.

Albo Polacy chcą mieć państwo wielkie, przekraczające granice etnograficzne, panujące na ziemiach z niepolską ludnością, to w tym razie muszą godzić się z tem, że w parlamencie są przedstawiciele tej ludności. A jeżeli już są owi przedstawiciele, to oczywiście, że najwięcej pożądanem jest z państwowego punktu widzenia, aby nie bojkotowali wyborów prezydenta, nie wystawiali swojego kandydata, lecz głosowali na jednego z kandydatów polskich.

I trzeba zupełnego zaniku myśli państwowej aby nie zrozumieć, że wejście przedstawicieli mniejszości narodowych było tryumfem Rzeczypospolitej, że to co się wystawia jako główny zarzut przeciw Prezydentowi Narutowiczowi, — a mianowicie, że został obrany nie tylko polskimi głosami — jest jego atutem i że atut ten należy wykorzystać na terenie międzynarodowym z największym dla Polski pożytkiem.

Czyż nie jest istotnie atutem w ręku polityków polskich ta okoliczność, że obecny Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, został wybrany między innymi i głosami ukraińców, posłów z Galicji Wschodniej, której przynależność do państwa polskiego jest jeszcze kwestjonowana na terenie międzynarodowym? Przecież te głosy ukraińskie, z Galicji Wschodniej, które padły na Narutowi-

cza to najlepsze stwierdzenie, że ludność rdzenna tej kwestjonowanej dzielnicy przyznaje się do państwa Polskiego i ma zaufanie do głowy jego.

Czyż ta okoliczność, że pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej został wybrany nie tylko polskimi głosami, lecz także głosami wszystkich mniejszości narodowych nie powinna być wyzyskana jako argument przeciw nieustającym próbom poruszania sprawy mniejszości narodowych w Polsce to w Lidze Narodów, to na innym forum międzynarodowym? Czyż nie ułatwia ona nam walki z wpływami jeszcze bardziej nam wrogimi i bardziej potężnymi — wpływami żydowskimi w polityce międzynarodowej.

Głosy obcoplemienne oddane Narutowiczowi mogły by być wobec świata żywym świadectwem, że słowa uroczyste przysięgi Prezydenta — „sprawiedliwość względem wszystkich bez różnicy obywateli mieć za pierwszą sobie cnotę“ — nie są czczym frazesem wpisanym do Konstytucji dla wprowadzenia w błąd cudzoziemców. Lesz głosy te i słowa uroczyste zagłuszył wrzask ulicy warszawskiej. „Precz z Narutowiczem i z żydami!“

Młodzież, która krzyczała i usiłowała nie dopuścić prezydenta do złożenia przysięgi, oczywiście nie zastanowiła się nad tem wszystkim, coś my wyżej mówili, ale nad tem powinni byli zastanowić się p. Stanisław Grabski i inni politycy endeccy, którzy tą młodzieżą kierowali.

P. Stanisław Grabski prawda nie uznaje dylematu: albo Polska z mniejszościami narodowymi — albo Polska cofnięta za linię Curzona. W „Uwagach o bieżącej historycznej chwili Polski“*) p. Stanisław Grabski kreśli program *narodowego* państwa polskiego w obecnych jego granicach. Program ten polega na spolszczeniu kresów wschodnich i Wschodniej Galicji, to jest za spolonizowaniu ukraińców i białorusinów przy pomocy kolonizacji i wyrugowaniu żydów przy pomocy bezwzględnej walki ekonomicznej z nimi.

Nie będziemy tu rozważali tego programu ani z punktu widzenia zasadniczego, ani z punktu

*) Stanisław Grabski. Uwagi o bieżącej historycznej chwili Polski. Nakł. Księg. Perzyński, Niklewicz i S-ka

możliwości jego urzeczywistnienia. Sam autor jego przyzna w każdym razie, że urzeczywistnienie wymaga... dłuższego czasu, a dziś, jeżeli nie chcemy linii Curzona, to mamy Polskę z 30% obcoziemnej ludności i musimy zastanowić się nad pytaniem, co jest wskazanem dla nas: odpychać ten żywioł obcoziemny, robić go wrogiem dla państwowości polskiej, czy też pozyskiwać i wciągać do współpracy.

Hr. Witte opowiada w swoich pamiętnikach, że pewnego razu car Aleksander III zapytał go, czy prawdą jest, że on — Witte — broni żydów, Witte nie odpowiadając, poprosił cara o pozwole nie zadania jemu pytania i gdy car zezwolił, zapytał:

— Czy wasza cesarska mość uznaje za możliwe utopić jednym zamachem wszystkich żydów rosyjskich w Morzu Czarnem?

Car przyznał, że to niemożliwe. A w takim razie—powiedział minister—trzeba im dać możliwe warunki, a nie stwarzać dla nich prawa wyjątkowe.

Ani car Aleksander III, ani jego zastępca nie poszli w polityce narodowościowej za radą Wittego, który przestrzegał, że hasło: „Rosja dla Rosjan“ jest nonsensem w imperjum rosyjskiem w którym 35% jest nie Rosjan. Do samego wybuchu rewolucji usiłowano z nie-Rosjan robić Rosjan lub odpychać od życia państwowego. Następstwa tej polityki dziś widzimy. I o nich wspomnieć powinniśmy dziś, kiedy w państwie Polskiem. mającem 30% niepolskiej ludności, słyszymy hasło, „Polska dla Polaków“.

Przecie ani w Wiśle, ani w Morzu Bałtykiem nie utopimy wszystkich żydów, Niemców, Ukraińców, Białorusinów i Rosjan.

Przyszłość Polski zależy od tego, czy wydobędzie ona z siebie siłę moralną, która pozyska dla państwowości polskiej obcoziemny żywioł.

LOGIKA W POLITYCE.

Trzy lata obradował sejm ustawodawczy nad Konstytucją republiki polskiej, a potem jeszcze cały rok nad ordynacją wyborczą i ustawami uzupełniającymi. Było dość czasu, by się paragrafów zasadniczych na pamięć nauczyć, by przewidzieć ich konsenkwencje tem bardziej, że z przewidywań tego rodzaju brały początek najgorętsze spory między prawicą a lewicą. Kto nie zadał sobie tego trudu zawczasu, temu wszystkie dzienniki stołeczne przypomniły punkt po punkcie przed samem Zgromadzeniem Narodowem przepisy dotyczące wyboru prezydenta, a zarazem atrybucje, jakie mu—jako naczelnikowi państwa przysługiwać będą. Między ukonstytuowaniem się sejmu a wyborem prezydenta upłynął cały tydzień; chyba dosyć dla przygotowania się do rozważnego dokonania tego doniosłego aktu.

Głosowanie nad kandydatami powtórzono pięć razy. A jednak... ledwie wybór został dokonany i opublikowany, najliczniejszy blok stronnictw polskich, tych, co się zwą „narodowcami“, „umiarkowanymi“, partjami „ładu i porządku“—ogłasza, że wybór był dziełem przypadku, że należy go obalić i powtórzyć od początku całą procedurę. Jakież świadectwo po-

litycznego niedorozwoju dają sobie samym ci senatorowie i posłowie, którzy w tych warunkach składają wynik na karb przypadku? Polityka jest przedewszystkiem sztuką przewidywania, obliczenia konsenkencji własnych i cudzych postępów. Co mówić o politykach, którzy nie umieją przewidzieć i obliczyć tak prostej rzeczy jak ta, że pięć grup politycznych, które zawzięcie zwalczały ich w kampanji wyborczej i były nawzajem nieubłagalnie przez nich zwalczane, w ostatniem głosowaniu mogą się połączyć i obalić ich kandydata? Zapobiedz temu mogło tylko poprzednie porozumienie; gdy jednak do niego nie doszło, ani w czasie wyborów, ani przed wyborem—tylko przeciwny wynik mógłby być dziełem przypadku, nieobliczalnego odruchu.

Prawica prowadziła całą kampanję polityczną pod hasłem wyeliminowania czynników nieobliczalnych. Domagała się bezwzględne go uszanowania uchwał większości i podniosła całkiem uzasadniony alarm, gdy taką uchwałę większości zlekceważono. Czyżby uważała że te doniosłe a zarazem zupełnie elementarne zasady praworządnego ustroju obowiązują tylko wtędy, gdy ona jest większością. I to nie, boć dotychczas do roli rządzącej większości nie mogła przywyknąć; aspirowała do niej, lecz nigdy jeszcze nie była do niej dopuszczoną. Nietylko godziła się z rolą opozycyjnej mniejszości, ale umiała nawet udzielać poparcia rządowi powołanemu przez inne stronnictwa, o ile jego linię polityczną pochwałała (Ponikowski—Michalski). Cóż się tedy stało?

Prawda, że z pięciu kandydatów wystawianych na wstępie Zgromadzenia p. Narutowicz miał w pierwszym głosowaniu najmniej głosów, ale też w pierwszym głosowaniu nikt nie postawił kandydata, przy którym by się upierał, nawet i prawica nie, boć p. Zamojski, był już drugim kandydatem, a miała ona jeszcze trzech w zapasie, gdy jego w końcu zdecydowała się wysunąć. Jeżeli dla żadnego z nich nie miała możności zdobyć więcej głosów niż jej własne, czemuż — dla skupienia większości polskiej — sama nie zrobiła wyboru między nie swojemi kandydatami. Może to nie dało się dokonać, lecz jeśli tak, widocznie dla całej reszty posłów i senatorów, którzy swojego kandydata porzucili dla cudzego, p. Narutowicz był względnie najlepszy, więc nie został im „narzucony“ lecz wybrany, a tem mniej nie narzucony przez blok mniejszości, który pierwsiastkowo inne nazwisko wysunął. Że wybór odbył się prawidłowo, temu i „prawica“ nie przeczy, więc jeśli został zaskoczona, to tylko przez własną omyłkę.

A teraz sprawa mniejszości: czy jest sposób, żeby jej w sejmie i w senacie Rzeczypospolitej Polskiej nie było? Oczywiście jest, starczyłoby na to tylko rzec się wszystkich obszarów kresowych o ludności mieszanej, a żydów w naszych miastach i miasteczkach pozbawić praw obywatelskich. Na pierwsze nikt w Polsce zgodzić się nie chciał, a najmniej prawica—i słusznie, byłoby to bowiem oddanie na pastwę wynarodowienia milionów ludności polskiej i to tej, która najwyraźniej o swą przynależność do Polski walczyła, najwięcej dla niej

wycierpiała i najwięcej w ciągu długich wieków dla kultury polskiej, dla idei polskiej zdziałała. Na drugie nie pozwalała ani tradycja narodowa, ani humanitarne, tolerancyjne dążności tkwiące w polskim charakterze, ani demokratyczny charakter polskiej Konstytucji, ani — last not least — traktat wersalski, na który prawie nieustannie powołuje się, jako na metrykę narodzin niepodległości państwa polskiego. Czesi chyba są dość zawziętymi nacjonalistami; są mniejszością we własnym państwie, a jednak inorodców nie wykluczyli od wyborów. Jeśli zaś żydzi, Niemcy, Ukraińcy — mają głosować, toć ich głosów nie można liczyć jako minusy, jakby wynikać musiało, że sprawozdań prasy narodowo-demokratycznej, która wciąż odejmuje głosy całego bloku szesnastki, aby wykazać, że liczebna większość jest jakościową mniejszością. Tu nawiasem warto wtrącić pytanie: a gdzie tajność wyborów? Skąd prawica wie, kto na kogo głosował, kto białe kartki rzucił? Czy przypadkiem i na p. Zamojskiego nie padł jakiś głos nie całkiem rdzenny i czy gotowa byłaby ten głos odjąć zamiast dodawać.

Tak czy owak, jawnym faktem jest, że posłowie i senatorowie ósemki idąc na Zgromadzenie Narodowe ani pięć minut nie poświęcili myśli o ewentualnej porażce swego kandydata. Musi przejść — i już. A jeżeli nie! No — wtedy wszystko przepadło i — niech djabli biorą resztę — to jest cały program, wszystkie plany sanacji państwa i jego skarbu itp.

Taka polityka nie zasługuje na miano polityki, to jest tylko „ciskanie się“. I oto — tak zwana prawica — jak nie rozważała przed wyborem, tak nie zdobyła się na pięć minut rozważań po wyborze, lecz zaraz z punktu zaczęła się ciskać, zupełnie nieprzytomnie, niepoczytalnie szarpiać i depcząc ze złości cały swój program, wszystko co w nim było cennego i obiecującego.

Toć na pierwszym miejscu tego programu stało urzeczywistnienie Konstytucji, obstawanie przy ścisłym wykonywaniu praw, zaprowadzenie ładu, porządku, bezpieczeństwa, odpowiedzialności, dobrej gospodarki, dokładnej kontroli.

Aż miło było czytać, aż się serce radowało na myśl o tem wielkiem prawie i gruntownem sprzątaniu, przewietrzaniu po którym znikną pleśń, pył i śmiecie, a zostanie czyste powietrze, zdrowie, pełnia światła dziennego. A oto po pierwszej próbie realizowania Konstytucji, żywioły „umiarkowane“ żywioły „ładu i porządku, wychodzą na ulicę i wszczynają zamęt, apelują do zbiegowisk miejskich i czynią je instancją rozstrzygającą przed głowami sejmu i senatu! Nie chciała „prawica“, powierzać wyboru prezydenta plebiscytowi ludowemu, — i słusznie. Nie ma przecież najmniejszych widoków, aby ludność każdego Pinczowu czy Koziej Wólki orjentować się umiała w osobistych kwalifikacjach kandydatów, których nazwiska rzucano na pastwę jej wątpliwości, domysłów, złośliwych plotek i na poczekaniu fabrykowanych oszczerstw. Jeżeli dziś dobroduszenie luddek stolicy mógł naiwnie uwierzyć, że Narutowicz jest żydem i żydów do rządów powoła, czegoż nie możnaby opowiadać na rachunek p.

Trapczyńskiego, Zamojskiego czy Głabińskiego w pierwszym Jędrzejowie czy Kockul. Ale przecież zgromadzenia obywateli wyborców, umieszczonych na oficjalnie sporządzanych listach, to bądź co bądź coś innego niż płynne, lotne, sypkie i zmienne zbiegowiska uliczne, w których każda większość może doraźnie zmienić silniejsza pięść lub wezwany podstęp szumwin miejskich. Lud nie ma wybierać prezydenta ma go wybierać ciżba? czy tak? Słusznie przeprowadziła prawica cenzus wieku dla wyborców i wybieranych, a podwyższając go przy wyborach do senatu starała się wprowadzić do izb prawodawczych czynnik rozważań i doświadczenia. Dziś tak dalece poniewiera własne przekonania i zasady, że senatorów poddaje pod sąd i władzę studentów. Młodzież akademicka decyduje o tem, kogo z członków sejmu czy senatu dopuścić do gmachu sejmowego, a kogo zatrzymać na ulicy. Ona postanawia, że prezydent niema przyjąć wyboru, niema składać przysięgi — a potem co?

Potem akademicy wrócą do sal wykładowych, bardzo podnieceni i odurzeni swą wielką rolą polityczną, nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności za to, co nastąpi, nie ponosząc jej, nie mając ani powodu, ani obowiązku troszczyć się o ukonstytuowanie władzy w Polsce, ani o jej rozumne i pożyteczne dla kraju sprawowanie. Ta doraźnie zwołana na ulicę studenteria ma być ową „siłą wyższą“, przed którą uchyla czoła wybrańcy dwudziesto ośmio miljonowego narodu! To ma być ustrój praworządny, ład i dobra gospodarka?

„Prawica“ sama nastawała na ścisłe ograniczenie praw prezydenta zamykając w ciasnych ramach jego indywidualną inicjatywę i uczyniła dla niego bezpartyjność nietylko prawem lecz techniczną koniecznością. Czyż nie jest wobec tego niezrozumiałem dziwactwem, że najprzód upiera się zawzięcie przeprowadzić na ten wysoki urząd człowieka ze swojej partji, a gdy to się nie udało, zwała na cudzego kandydata odpowiedzialność za tych, którzy jemu w ostatnim momencie wyboru oddali swe głosy. Cóż winien pan Narutowicz, że p. Grünbaum jego wolał niż Zamojskiego i Wojciechowskiego? Czy p. Zamojski przyjmując głosy endeków, chadeków i t. d. — przyjmuje wraz z nimi cały rachunek win i saslug swych wyborców czy na przykład z tej racji możnaby go pociągać do odpowiedzialności za awantury uliczne w Warszawie?

Pan Zamojski — bezwiednie dał swoim wyborcom zdrową lekcję politycznej kultury i politycznego taktu wysyłając natychmiast depeszę gratulacyjną do nowo obranego prezydenta. Tak się robi w Europie — i tak powinna być zrobić endecja, nietylko dlatego, że to byłoby po wersalsku, a więc zgodnie z polską tradycją i programem narodowej demokracji, ale i tak nakazywał zdrowy sens polityczny i dobrze zrozumiany interes partji.

Prezydent jest z natury swego urzędu osobą stojącą poza partjami, obowiązany wszystkimi na równi uwzględniać, ze wszystkimi się liczyć i w miarę potrzeby porozumiewać. Żadna partja nie ma prawa pieczętować go marką

partyjną jako swego człowieka, ani też piętnować jako swego wroga. Z chwilą przyjęcia urzędu i złożenia przysięgi tworzy się między nim a areną walk stroniczych odstęp, którego nie ma prawa przekraczać ani natrętlawa zaciekłość, ani natrętna „amikoszonerja“. Pan Narutowicz zaznaczył to odrazu przemawiając do delegacji Wyzwolenia, gdy mu wieszowała wyboru.

Prezydent — jak to słusznie dawniej prasa prawicowa zaznaczała — nie ma prawa powiedzieć, że nie chce znać kogoś, kogo wola narodu w sejmowej uchwale powołała do rządów. Taki jest porządek rzeczy we wszystkich konstytucyjnych państwach nawet monarchicznych, i gdyby dziś labour party zdobyła większość w angielskiej izbie gmin, król Jerzy V-ty ani na chwilę nie mógłby się zaważyć z powołaniem Ramsaya Macdonalda do tworzenia gabinetu.

Nie jest bynajmniej wykluczonem, że w ciągu siedmioletnia swej prezydentury p. Narutowicz będzie się musiał zwrócić o tworzenie rządu do p. Głębińskiego czy Dubanowicza.

Przez niedzielne i poniedziałkowe awantury narodowa i chrześcijańska demokracja wykopały między sobą i prezydentem przepaść, przez którą same będą kiedyś usiłowały kładkę przerzucić i zdyskwalifikowały się jako grupy zdolne do legalnego objęcia rządów. A stało się to w chwili, gdy były bliższe tego celu niż kiedykolwiek.

A tymczasem — co będzie z Polską? z jej finansami, kredytem i powagą? Kto się zatroszczy o ład wewnętrzny, powagę i obronę jej interesów nazewnątrz? Czy 555-ciu ojców narodu powołanych do pieczy nad dobrem publicznem przyniosło mu ze wszystkich stron

kraju tylko pianę wściekłości, wezbraną żółć zawiści i ściśnięte pięści? Czy niema tam wcale między nimi głów zimnych a serc gorących, czystych a krzepkich rąk, któreby szczerym wysiłkiem zbiorowym wydzwignęły sprawę publiczną z grzęzawiska, w którym ugrzęzła.

Zadanie trudne — to prawda; ale rzeczy łatwe dawno już zrobili niedołęgi i tchórze. Teraz pozostały tylko trudne, z którymi dzielni i mądrzy uporać się muszą.

I. M.

OPTYMIŚCI I PESYMIŚCI.

Zakończył się wstępny okres budowania państwa. Jedni są z ubiegłego czterolecia zadowoleni, a niedomogi uważają za rodzaj ząbkowania dzieciaka, uwolnionego z pieluch, drudzy natomiast zniechęceni plonem doświadczeń, wloką nadcięte skrzydła po ziemi i dźwigają cały tłumok rozczarowań. Są optymiści bynajmniej nie domykający oczu na ciemne warunki bytu Polski, na chmury wałęsające się po jej nieboskłonach, ale nie wierzą, aby one sprowadziły burzę zagłady. Owszem, oni przenikają często luźnię spójni wewnętrznej, grube szczeliny w mozaikowaniu społeczeństwa, zobojętnienie, znieprawienie, brak zmysłu społecznego i politycznego, nie uważają jednak przywar nadmienionych za zasadnicze zło, tkwiące w naturze polskiej, tylko za wynik ucisku, jarzma, zaczem znajdują lek pocieszający: *cessante causa cessat et res ipsa*. Co się zaś tyczy pesymistów, to poza niepoczytalnymi, którzy już wypili kielich goryczy i plecami odwrócili się do wszelkich możliwości pogodniejszych oraz złamali laskę sędziowską nad krajem, istnieją czarownicy obolali, przejęci do szpiku i kości obawą o przyszłość Ojczyzny, o utratę tego, co losy dla nas wy-

PIECZĘĆ PERSEFONY.

KLECHDA ATTYCKA.

VII.

Zelruna nie uniknęła swego losu. Prytanie z łatwością ustalili za pomocą starannego śledztwa, że winną zamachu przeciwko królowie była ona. Prawda, że od pierwszych zaraz słów wskazywała ona na Aratę, lecz do tej trudno było dotrzeć. Z przybyszami zaś takimi, jak czarownica ta tracka, nie krępowano się zbyt: następnego dnia odprowadzono ją już za Święte wrota i strącono do znajdującego się tam baratronu. Co się zaś tyczy Araty, ta porzuciła wówczas Ateny i oddaliła się do Mesogji, gdzie rozwinęła zaciętą wprost działalność, nastrajając lud przeciw Pandionowi, dopóki nie osiągnęła odcierania się Mesogji. Ale to zdarzyło się dopiero później.

Teraz zaś jego szczęście wydawało się być bez chmurki. Córkę swą kochał aż do niepamięci, lecz pod tym względem całe Ateny miał po swojej stronie.

Cud Panatenejski zatarł wszelkie skazy, jakich dotąd dopatrzeć się było można w pochodzeniu Eryny: skoro tak jawnie sama Pallada przyjęła ją za córkę, przeto nie mogli od niej stronić obywatele. Nie było już mowy o „dziewczy-

nie trackiej“, jedna przez drugą zapraszały ją do siebie żony magnatów, a przyjaciółki mogła wybierać w najlepszych rodzinach miasta. Dom Erechteusza już dawno stał przed nią otworem: królowa Pilija przyjmowała ją, jak córkę, królowicze jak siostrę. Wesele, jak się zdawało, było nie za górami; atoli przedtem pragnęła użyć swobody dziewczęcej, zwłaszcza że wypadło powetować cały czas, strwoniiony po za Atenami. Nie spieszył się król Pandion z poświęceniem swej córki Demetrze Eleusińskiej; z opowiadań Fillidy i samej Eryny przekonał się, że lepiej duszę jej trzymać zdaleka od tamtego świata. Nowe przyjaciółki zapraszały ją do korowodów Artemidy, lecz w początkach zagarnęła ją przedewszystkiem sąsiadka, Afrodyta w Ogrodach, za pośrednictwem kapłanki swej Iony: nie było wątpliwości, że powinna była odwzajemnić się bogini za jej błogosławieństwo. Córkę wiosny zaliczono więc w poczet dziewcząt, wielbiących Afrodytę w Ogrodach. Wesoła była to służba: pieśni i tany, tany i pieśni, w przerwach rozmowy, zabawy, kwiaty — czoło dziewczęcia było wciąż jasne — cień dawny w całym okresie życia ateńskiego nie nkażał się na niego ani razu. Tak płynął czas od rana do wieczora, a nocą — miłe sny, wywoływane niemiłąką pieśnią nowego gościa Afrodyty w Ogrodach — ptaszyny — słowika z gajów Pangejskich.

ciągnęły z Arkadii szczęścia, starający się powstrzymać różne utrapienia i przesuwając przed wzrokiem zbiorowości majaki dziejowe, aby zażegnać wpływ upiorny. Jak pesymizm *à outrance* jest zjawiskiem zgoła obrzydliwym i zabójczym, tak odpowiednik jego znajdzie się w optymizmie bezkrytycznym, krańcowym. Pędzi on na koniu rozhukanym przez roztocze w pióropuszu barwy różowej, a gdy na poprzek drogi swojej spotka narzekanie, psujące mu jego własną legendę, uśmiechnie się pogardliwie i plosząc trzepoczącego się kruka odeprze: gdzieindziej tak samo!... Owo „gdzieindziej tak samo“ jest kanonem rozmów, ono rozcina niefrasobliwie zagadnienia najzawilsze, drwi z badań, czerpie natchnienie z kurjerów, pociesza się cudzą niestwierdzoną bolączką... Jestto bodaj najpłytszy, najwygodniejszy sposób rozumowania, bo patentujący na patryję tegoż, nie zmuszający do wysiłków. On stał się, niestety, konikiem ulubionym szerszych warstw i tworzy dopełnienie uczciwego „jakoś to będzie“. Jemu nie sni się zapytać z jakich powodów źle u bliźszego lub dalszego sąsiada, czy analogje są rzeczywiście czy złudne, uważa za wystarczające siedzieć na kamieniu przydrożnym życia Polski, szczyrzyć zęby i rozplić się w porównaniu filisterskim. To też na jego biegunie tkwi obojętność dużych mas bawiących się, szukających mądrości w żołądku, w kawiarnianych uroczkach, *w carpe diem* bez wysokich godeł Horacjuszowskich. Każdy pesymizm bezwzględny, karawaniarski, znieprawia duszę i temperaturę narodu, każdy optymizm dla optymizmu, jałowe wyróżnianie, wiedzie pod rękę bezmyślność, czerpie wraz z swoim czarnym towarzyszem natchnienie w stanie chorobliwym i przyczynia się do zgęszczenia atmosfery samobójczej.

Twórczymi pierwiastkami są jedynie optymizm i pesymizm krytyczny; oba zmierzają do

tych samych celów, aczkolwiek oddziela je różnica pogłębienia. Tamten idzie naprzód z uśmiechem, wszystkie zapory obecne uważa za chwasty naturalne na drogach jeszcze nieuprzętniętych, ten, nie zadawała się ową naturalnością, zapuszcza się w głąbie szych wysłowych, szuka przyczyn rozstroju, rzuca głos ostrzegawczy, chce dobrać się do korzenia nieomogów i wyrwać go z pasją całą! Optymizm krytyczny sieje pęk światła, w którego promieniach przebijają się zaledwie widzialne plamy ciemne, pesymizm natomiast przez zwoje cieniów podąża ku światłu...

Wskreszenie naszej państwowości nastąpiło w warunkach dziwnych, bez rytmu należytego zapachu, bez wchłonięcia zapachu wiosny olbrzymiej, która nas obsypała kwieciami białym upojenia radosnego. Nie było ani entuzjazmu legionów Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, ani dostojności okresu Napoleńskiego. Kilka lat wojny światowej, rozdarcie duchowe w narodzie samym, rozdarcie wzmożone jeszcze po przypiływie do domu fali wychodźczej, złożyły się na zdławienie porywów, na widowisko korsykańskiej *vendetta traversa*, wzajemnej mściwości, załatwiania obrachunków partyjnych, tępienia ludzi, którzy czegoś chcieli i coś umieli a barwy liberyjnej nie nałożyli. Gdy na przełomie 1919 na 1920 rok odezwał się głos pesymizmu krytycznego, wówczas wstrząsano ramionami i uważano puszczyka za cudaka kraczącego. Żeby tylko! Zwykle uchodził za germanofila, za straszaka na wróble. Tymczasem maszyna źle zmontowana działała coraz niesprawniej. Do swarów potępieńczych przybyły ostre walki sekt politycznych, parafjalne pretensje, wypychanie i rozpychanie się miernot, marnotrawstwo grosza publicznego, fatalne rządy, rozkład w masach szerokich, chęć użycia i nadużycia, połączone z uspieniem uczucia odpowiedzialności wobec współczesnych i potomnych. Marka polska stoczyła się

Pandion nie mógł odmówić sobie tej przyjemności i po jesiennem całonocnym święcie Afrodyty, które dla Eryny było nowym tryumfem, wzięła ją z sobą na Akropol do domu Erechteusza. Czekano tam na nią miękkie posłanie w zacisznej komnacie królowej Piliji; lecz tymczasem ani ona, ani też on nie czuli znużenia po przejściu stadji z okładem wzdłuż brzegu szemrzącego Ilissy; weszli do miasta przez bramę Diomejską i wzdłuż ściany wstąpili na wzgórze Muz, tam, gdzie one według legendy wyhodowały — złotowłosą Harmonję, symbol przyszłego nastroju świętego grodu. Zorza już rozpalala się na wschodzie; w jej blasku różowym wyraźnie widać było pagór Ardetu, przypominający porwanie Orytji, a jeszcze wyraźniej — święty Akropol.

Pandion siadł na stopniach przybytku Muz, wieńczącego wierzchołek wzgórza; Eryna, wciąż jeszcze rozgorączkowana zachwytem nocy Afrodyty, stała przed nim. Czy własny rumieniec twarzy jej zalewał, czy też było to odbicie zorzy wchodzącej nad Ardetem? — stała przed ojcem w całej krasie młodości, cudniejsza, niż kiedykolwiek dotąd. Patrzył na nią i przypomniła mu się jej matka, przypomniła się taką, jak niegdyś o takiej samej zorzy, gdy stała przed nim w gaju Pangejskim... tylko, wtenczas była wiosna, nie jesień.

Nie wytrzymał.

— Eryno, czy wiesz, czemu zawdzięczasz swe imię?

Popatrzyła na niego swym uporczywym spojrzeniem, które tak dobrze znał i kochał: czuła, że za tem pytaniem nastąpi zwierzenie — nieodparte, nieuniknione zwierzenie, które zburzy ostatnią przegrodę między ojcem a córką. Czekala na nie od dawna i teraz właśnie była mu szczególnie rada...

— Wiem od matki — cicho odrzekła, — lecz chętnie z ust twoich usłyszę.

W powietrzu dał się słyszeć groźny pęd ciężkich skrzydeł; znajoma Pangejska — sowa przyfrunęła z Akropolu i siadła nad głową króla na wysadzie świątyni muz.

Uśmiechnęła się do niej Eryna swym dziecęcym uśmiechem, darem Afrodyty.

— Czyżbyś ją znała?

— Jakżebym znać jej nie miała? — wesoło odrzekła dziewczę. I opowiedziała mu kolejno o swej ucieczce i swej przyjaźni ze wszystkimi ptakami Pangeju. — Przyjaźń ta trwa jeszcze dotąd; pierzaści goście Afrodyty w Ogrodach wszyscy co do jednego są mi znani, i nawet podejrzewam mocno, że wielu z nich przyleciało tu za mną z Dziewięciu Dróg. O niektórych wiem to na pewno, na przykład o tej.

Sowa siedziała spokojnie, rada snadź, z tego.

w przepaść, gospodarka okazała się jedną olbrzymią lekkomyślnością i nawoływania do naprawy finansów i rzeczypospolitej zlały się w chór błagalny. Dawne puszczyki okazały się jasnowidzami. Aby zatamować opór groźnych objawów zaczęto bić na alarm z lewej i z prawej strony, skrzypnęły pióra, rozległo się upominanie do opamiętania. Pesymizm krytyczny zapanował na całej linii, uchodził już za element przewidujący, za konieczność odnowionego życia państwowego, — nie zdróżną chęć mącenia „kadzi narodowej”. — A gdy przyzwyczajono się do słuchania prawd gorzkich, oswojono się z niemi, niby z pigułką codziennie przełykaną. Głucha tępota drwiła: ty mów a ja zdrów! Nie lgnęła do fali, ani fala do niej... Okazało się, że u nas wszelaki pesymizm czy optymizm krytyczny, ujęte w postać słowa pisanego, że sama kazalnica publicystyczna lub książkowo — broszurowa są dopiero uncją czynu, ale żadną miarą czynem skończonym, ucieleśnionym, kształtującym obyczaje, karczującym błędy i wymuszającym zejście z ścieżek grzechu. Przeceniało się i przecenia wartość emanacji duchowych wobec braku na pół dojrzałej opinii, która by umiała przetopić wartości i wskazania umysłów trzeźwych na kruszec życia. Mógł Locke zapomocą teorii swoich zostać dziadkiem rewolucji francuskiej, mogli być jej ojcami encyklopedyści, ale naszej martwoty nie poruszy skrzyp stalówek i nie porwie z sobą i za sobą obojętnej powszechności. Ktoś tam przeczytawszy rozsądny artykuł westchnie ucieszony: a to skandal, ktoś nawet zaklnie i zgrzytnie, ktoś zasmuci się prawdziwie, nazajutrz zaś wszystko spłynie, jak deszczówka po szybie i utonie w zapomnieniu... Trochę wiru po wierzchu, trochę oburzenia niekosztownego i płaszczyzna zamacona wyrównuje się znowu, bez spadnięcia przeważnie włosa z głowy winowajcy lub winowajców. Kropielnica zrosiła niemotę, niemota oschła i trwała dalej.

Trzeba zatem zejść z królestwa zaufania do magicznego oddziaływania samego słowa na padół rzeczywistości. Na nim powinna znaleźć się silna władza, umiejąca niewyrobiane społeczeństwo pochwyć w kleszcze i niem pokierować, na nim powinny wyrosnąć organizacje, któreby dążyły do przetworzenia powszechności, zwłaszcza młodzieży i pchały ją ku jaśni, ku bojowaniu pod sztandarem moralności zdeptanej i obowiązku zaniedbanego. Muszą powstać związki czynu, wielkie kuźnie idealizmu, nawrotu do poświęceń i altruizmu, warsztaty zastosowania teorii głoszonej do istotności życia. Samo słowo nie wystarcza już nadal, ono wzlata jak gołąb biały nad potopem, ale skrzydłami nie cofnie w brzegi rozlanej głębi wód. Analizujący optymizm i pesymizm, słowo poczęte z ducha, nie mogą już podołać zadaniom, one są poniekąd dalszym ciągiem epoki mesjanizmu, gdy zakuci w kajdany, z powiązanymi rękami, wsłuchaliśmy się tylko w mowę wielkich poetów i pieścili się jej pięknem. Dziś, heroldzi optymizmu i pesymizmu krytycznego mają obowiązek dzwonić na propagandę czynu, wskazywać jak czyn ma wyglądać i pomódz do jego realizacji. Inaczej: trybuna słowa sąsiadować winna z trybuną wykonania i jak Mickiewiczowskie księgi pielgrzymstwa uświęciła sama tułaczka mistrza, zakończona głoszeniem apostołstwa między ludami i wzywaniem pomocy dla Polski, tak gromy schowane między wierszami druku zostaną literaturą, deklamacją, a nie ofiarnym spełnieniem o ile nie wedrą się w energję pozytywną. Słowa mogą być tylko mocą astralną, błyskotliwym, kometą, który wlecze ognisty, z dala dostrzegalny, ogon. Po krótkiej chwili ginie i trwa niekiedy wspomnieniem w klechdzie ludowej...

Ernest Łuniński.

że rozmowa inny przyjęła kierunek. Lecz nad Ardetem ukazało się słońce i sowę począł ogarniać sen. Jeszcze raz poruszyła się niespokojnie, gdy Eryna, spojrzawszy na ojca, uśmiechnęła się doń wyczekująco; lecz wkrótce potem skrzydła jej opadły bezradnie...—zasnęła.

Pandion począł opowiadać — o swym przyjeździe do Dziewięciu Dróg, o zapoznaniu się swem z Fillidą, o ich spotkaniach w wąwozie Pangejskim, o wszystkich czarach tej wiosnianej miłości w młodem państwie wiosny. Teraz przeżywał je powtórnie, po nocy, poświęconej Afrodycie, pod promieniami tego porannego słońca, które oświecało przepiękny, błogosławiony owoc tej miłości. Było coś jedyne w tem zwierzeniu, zwierzeniu ojca przed córką o tem, co dało jej życie.

Opowiadanie jego nie w wszystkim zgadzało się z tem, co wielokrotnie słyszała od matki; zdarzenia były te same, lecz oświetlenie ich miejscami inne. Dziewczę porównywało widać obie opowieści, jedną dopełniając drugą. Wynikło z tego coś jednolitego, krągłego, śmiałego, a jednocześnie pięknego. Więc z uśmiechem powtórzyła słowa, słyszane wielokrotnie od ojca — dumne słowa: „Na wysokości niema grzechu“.

W uśmiechu jej, w łagodnym jej spojrzeniu dojrzał swe usprawiedliwienie, i z tego łatwo było jej usprawiedliwić go, gdyż było to warunkiem

jej własnego życia. Pozostawała druga część zwierzenia, trudniejsza: o drugim przyjeździe i o... „giermkini“. Cóż tu było do powiedzenia? Przymus obowiązku, słowo dane bez zastanowienia... Jeżeli tamto usprawiedliwienie było rzeczą konieczności, to mogło być tylko wolnym darem serca córki. Czy ma do tego serca prawo? Czyż córka da mu to, czego odmówiła matka?

Opowiedział jej wszystko. I patrzył na nią w dalszym ciągu, nie puszczać jej ręki. Czuł, że teraz nadchodzi chwila stanowcza: chwila ta albo odbierze mu córkę, albo jeśli wróci — to wróci nazawsze.

— Co powiesz, Eryno?

Popatrzyła nań swem znanem badawczem spojrzeniem, potem położyła mu ręce na ramionach i cicho rzekła:

— Mój tato.

I wszystka łaska góry w jej porannej świeżości jakgdyby skupiła się w tych dwóch słowach i razem z niemi wstąpiła w duszę szczęśliwego ojca. Pragnąłby, aby czas się wstrzymał! Tak, tego właśnie pragnął teraz, jak wielokrotnie później, gdy w nieuleczalnym smutku wspominał o tej szczęsnej a niepowrotnej chwili swego życia.

— Gołąbko moja..., córko moja.

Patrzyła na niego promiennymi oczyma. Jakżeż inaczej wyglądał on teraz taki, jaki był w rze-

DOLA I NIEDOLA DEMOKRACJI POLSKIEJ II.

Fetysze parlamentaryzmu i ludowładztwa.

Doktrynerzy demokracji polskiej wzięli z teorii i praktyki liberalizmu zachodniego kilka tez, uważanych za pewniki: zwierzchnictwo ludn, panowanie większości, wiarę w głosowanie powszechne, parlamentaryzm. Jest to jeszcze dotychczas ulepszona i poprawiona teoria Rousseau o doskonałości i sprawiedliwości ludu, masy, liczby. Do tego dodano wiarę w niezawodne, najnowsze wynalazki: głosowanie proporcjonalne, plebiscyty, referendum, system jednoizbowy, wybór prezydenta przez wybór powszechny¹⁾. Idee te zostały rzucone w masy w celach agitacyjnych, demagogicznych, ale przywódcy — wielu z nich przynajmniej — zdaje się wierzyć w skuteczność zalecanych specyfików. Nasza konstytucja marcowa jest niedobłą, bo prawa referendum nieuchwaliła. Tymczasem referendum tam, gdzie ono się praktykuje, jak w Szwajcarii, doprowadzało zawsze do odrzucenia wszystkich rzeczywiste postępowych projektów, jak: zniesienie kary śmierci, wolność sumienia i wyznań, zniesienie kar cielesnych (rok 1866), rozciągnięcie ustawodawstwa ochronnego na wszelkie rodzaje robotników (1877 r.), proporcjonalność wyborów do rady narodowej (dwukrotnie w r. 1900 i 1909) i parę dziesiątków innych ustaw. Wszystkie, te projekty w głosowaniu ludowem przepadły. Taki jest głos ludu²⁾. To też nie-

1) Patrz Projekty Konstytucji Rzeczypospolitej Pol. Wydaw. Kancelarii Cywilnej Naczelnika Państwa. Warszawa 1920. Projekt „Wyzwolenia“ Str. 41—42—43—44; projekt P. P. S, str. 53—54—55 i inne.

2) Jednakże sprawiedliwość każe zaznaczyć, że 24

którzy uczeni, jak prof. Maliniak, uważają referendum za urządzenie „polityczne niezwykle szkodliwe, teoretycznie zaś rażąco niekonsekwentne“. Ciekawem jest, że teoretyczni zwolennicy referendum, jak prof. Jellinek, mówią, że referendum jest momentem hamującym procesu ustawodawczego, i jako środek zachowania dawnego ustroju prawnego, posiada ono charakter instytucji *konserwatywnej*. Tego samego zdania są konserwatyści angielscy, w tej liczbie lord Cecil Hugh¹⁾, który radzi zastosować ten system w Anglii dla przeciwwagi radykalizmowi izby gmin. Zdają sobie konserwatyści angielscy sprawę z tego, że cały naród jest w gruncie rzeczy konserwatywny. Dziwnem jest tedy, że referendum włączono do programu partii tak radykalnej, jak niemiecka socjal demokracja. Referendum powinno być właściwie polegać na przeciwdziałaniu niepopularnym ustawom; niestety, niepopularne są przedewszystkiem zarządzenia, pociągające za sobą nowe podatki. O tem nasze stronnictwa radykalne zdaje się mało co wiedzą. Referendum szwajcarskie w sposób aż nadto oczywisty ujawniło szkodliwe skutki numerycznej zasady większości.

A teraz kilka słów o plebiscycie. We Francji plebiscyt w ciągu lat 20 potwierdza kolejno konstytucję r. 1793 (demokracja absolutna), konstytucję z roku 1795 i dyrektorjat, w r. 1799 konsulat X-cio letni, w roku 1802 konsulat dożywotni, w roku 1804 cesarstwo, nie licząc

Września r. b. w Szwajcarii przez referendum ludowe został odrzucony reakcyjny t. z. „lex Heberlin“, obalający wolność strajków. Ludność większością 76,000 głosów wypowiedziała się przeciw temu zamachowi na prawa klasy pracującej.

1) Cecil Hugh. „Konserwatyzm“ Tłum. polskie. Warszawa 1915.

rzeczywistości, w porównaniu z tem wyobrażeniem, jakie wytworzyła sobie niegdyś na podstawie opowiadań swej matki — wyobrażeniem ojca przypadkowego, niekochającego, władcze go i drapieżnego jastrzębia wśród niewinnych turkawek. Nie, nie zawsze jednak tak o nim mówiła; czasem i dumna pewna wybijała się nawierzeh, duma z ojca swego dziecięcia, kiedy inni nań napadali, a szczególnie Aglaodor. Lecz do zdarzenia z „giermkinia“ stosowała zawsze tę samą ocenę, która przeczyła tamtej drugiej. A teraz nie było sprzeczności, wszystko połączyło się w obraz kochającego, tkliwego, bezgranicznie oddanego swej córce ojca.

— Powiedz mi, tato — zająknęła się, czy nie weźmie jej pytania za oznakę zarozumiałości i pustki duchowej? Nie, to niemożliwe: w takiej chwili wyłączone są wszelkie złe myśli.

— Powiedz mi, ojeze... kto ci jest teraz najbliższy i najdroższy?

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w oboje oczu.

— Kto mi najbliższy i najdroższy? Rozumie się, że ty, gołąbko moja. Czyliż nie czujesz tego?

Chciał ją znów pocałować — lecz zniewolony był ją puścić. Nagle zmieniła się, oczy nabrąły jakiegoś obcego przerażonego wyrazu i głęboki cień pokrył jej marmurowe czoło.

— Dokąd że mam iść?

— Co ci jest, dziecię? Jaktó, dokąd masz iść? Rozumie się, że nigdzie, lecz pozostać masz ze mną na nowe szczęśliwe życie.

— Dlaczego mówisz mi: idź! idź!

— Kto mówi? Opamiętaj się. Córko, gołąbko moja!

— Idę przecież... Idę, idę, nie obawiaj się: dojdę do końca. To ty jesteś, myślałam, że to on, a to ty. Tak, masz słusność, służyłam jednej służyłam drugiej, a teraz tobie. Idę, idę; bierz mnie.

Odwróciła się od Pandiona i szybkimi krokami poczęła zstępować ze wzgórza. Poszedł za nią, lecz wszystkie jego namowy i błagania, o ile dochodziły do jej świadomości, rozdrażniały ją tylko. Tak, los okrutnie zadrwił sobie z nich: w tej samej chwili, gdy sądził, że zwrócona mu jest nazawsze, została mu odjęta... nazawsze?

C. d. n.

Tadeusz Zieliński



aktu dodatkowego z roku 1815. I to wszystko milionami głosów przeciwko kilku lub kilkunastu tysiącom. Po dłuższej przerwie drugie cesarstwo Napoleona III (7,800,000 głosów za, 254,500 przeciw). A umiarkowaną republikę 1848 roku i zamach stanu plebiscyt również aprobował.

Panacea demokracji: plebiscyty, referendum, system jednoizbowy, są to rzeczy sprzyjające reakcji, a przynajmniej zachowaniu starego porządku, i z tego powodu popierać je powinnyby właściwie konserwatyści. Teraz np. jesteśmy świadkami, że obecny skład senatu francuskiego i belgijskiego jest daleko bardziej liberalny i postępowy, niż izby deputowanych. I tak być musi, gdyż senat, prawidłowo obmyślany (nie nasz obecny senat, zredukowany i kastrowany) jest wyrazem dojrzałej inteligencji, a izba niższa jest wyrazem chwilowego nastroju nieświadomych tłumów. A tłum łatwo przechodzi od krańcowego radykalizmu do skrajnego konserwatyzmu.

Najmniej spornym wydaje się system reprezentacji proporcjonalnej. Nie pozwala on potężnej większości na zupełne unicestwienie mniejszości. Lecz gdy stronnictwa mnożą się i równoważą, czyni to trudnym samo rządzenie i odbiera akcji to wszystko, co daje reprezentacji. Wywołuje nadto surową klasyfikację stronnictw i również surową karność partyjną; czyni niezbędnym i przeważającym oddziaływanie klubów politycznych na wyborców, wraz ze wszystkimi tajnymi intrygami, jakie to oddziaływanie obejmują. Ma wreszcie ten system w sobie coś sztucznego, gdyż klasyfikacja stronnictw jest zawsze arbitralną i konwencjonalną; prądy polityczne, jak słusznie zauważa prof. Adolf Prins, są prądami górnymi, powierzchniowymi, zmiennymi. Niżej dopiero, w głębinach, objawiają się rozmiary i trwałość prądów społecznych. Logika matematyczna nie zawsze jest logiką życiową¹⁾.

Do jakich absurdów, do jakich szkodliwych dziwołogów doprowadzić może zastosowanie systemu proporcjonalnego w instytucjach samorządu lokalnego, w autonomicznych instytucjach użyteczności publicznej, tego przykład jaskrawy na radzie miejskiej miasta Warszawy oraz na Kasach Chorych. Pierwsza miast zajmować się sprawami gospodarczymi, technicznymi, skazana jest na jałowe dyskusje polityczne. Zarząd Kasy Chorych wcale nie może się ukonstytuować. *I tu i tam niema odpowiedzialnej większości.*

Lecz i sam system parlamentarny, oparty na powszechnym, równym, tajnym etc. prawie wyborczym, nie jest bez zarzutu. Parlamentaryzm obecnie przeżywa ostry kryzys. Syndykalizm francuski i komunizm sowiecki — system rad — nawet faszyzm włoski — to w znacznym stopniu tylko reakcja na bijące w oczy, uciążliwe i demoralizujące wady parlamentaryzmu współczesnego. Właściwie mówiąc, z biegiem czasu system rządów ludowych i sami ludzie rządzący powinni się wydoskonalić, jak doskonali się wszystko inne w okresie nowej kul-

tury. „Wiek XIX, pisze A. Prins¹⁾, jest jednym z wielkich stuleci historii. Był on wspaniałym rozkwitem myśli, sztuki, wiedzy; cudowną ekspansją energii i siły umysłowej. Widzieliśmy, jak najlepsi członkowie społeczeństwa, nie troszcząc się o opinię tłumów, zbierali dla wzbogaconej ludzkości wspaniałą plon — dzieł, idei i pomysłów. Gdyby parlamenty były tego odbiciem, ich poziom przeciętny byłby wyższy od poziomu dawnych ciał obradujących. Tymczasem było przeciwnie: podczas gdy kultura kontynentu wzrastała, jakość parlamentów obniżała się. Wzrastała nieustannie liczba wyborców, lecz nie wzrastał ani urok, ani powaga zgromadzeń. I działalność światowa przekształcająca świat we wszystkich dziedzinach, zdaje się rozszerzać na zewnątrz i poza nimi.“

Prawda, postęp, szczególnie co do ustawodawstwa robotniczego, w ciągu XIX i XX wieku nie da się zaprzeczyć. Ale nie jest on wynikiem li tylko rozszerzonego prawa wyborczego. Niezbędne ustawodawstwo robotnicze rozwinęło się bez względu na ustroje państwowe. Znajdujemy jego zawiązek tak w Prusiech arystokratycznych z roku 1820, jak w demokratycznej Francji roku 1848. Urzeczywistnia się ono zarówno pod wpływem konserwatysty takiego, jak Bismarck, który był inicjatorem polityki społecznej i ustaw o ubezpieczeniach, jak pod wpływem angielskich whigów i torysów, opierających się na ograniczonym głosowaniu, albo izb belgijskich, wychodzących najpierw z głosowania cenzusowego, następnie z głosowania pluralnego.

Na ogół parlamentaryzm współczesny, nawet wyjąwszy referendum, plebiscyty i t. d., w praktyce nie przedstawia się tak różowo, jak się to mogło wydawać demokratom w teorii.

Nawet w Anglii, kraju, o którym zwykle nawet krytycy parlamentaryzmu odzywają się ze szczególnym szacunkiem, jest nie o wiele lepiej. I angielscy uczeni nie obwijają prawdy w bawełnę. Oto co mówi znany uczonej Sidney Law²⁾ (r. 1904) o debatach parlamentu wyspiarskiego: „Czy nie przypomina to bredzenia bez związku jakiegoś satyryka, czy też fars w duchu Arystofanesa lub Rabelais, gdy okazuje się że wydawanie nowych ustaw dla państwa powierza się licznemu, co do składu bardzo mieszanemu, zbiegowisku publicznemu, którego uczestnicy coraz bardziej stają się ludźmi nie obowiązkowymi, a właściwie mówiąc, prosto leniwymi, ludźmi za pracę swą zupełnie niewynagradzanymi i mającymi całkowitą możliwość uczestniczenia lub nieuczestniczenia na posiedzeniach, zależnie od swego widzi mi się. Dla nikogo nie jest tajemnicą, co to za komedia *te tak znane debaty izby gmin*, w kwestji armji i marynarki. Przyznaje się milijony funtów sterlingów, stawia się na porządku dziennym i rozstrzyga sprawy najbardziej żywotne, doty-

1) Adolf Prins „O duchu rządów demokratycznych.“ Tłum. pols. Lwów Warszawa 1907.

2) Law Governance of England 1904 r. II § 1. Cytowano według prof. Maliniaka. Demokracja a parlamentaryzm. Warszawa 1919 r

1) Patrz artykuł Bernhard'a z powodu wyborów proporcjonalnych w „Vossische Zeitung“ w listopadzie r. b. „Die Unvernunft der Logik“.

czące bezpieczeństwa i potęgi imperjum Brytańskiego. Wszystko to dokonywa się zazwyczaj w obecności jednego ministra, jednego lub dwóch wiceministrów, byłego pierwszego lorda, niewielkiej grupy uważnie słuchających strategów-miłośników, oraz jeszcze jakiego dziesiątka warczących i niezadowolonych pułkowników i kapitanów. *Pozostali członkowie izby t. j. prawie całkowity skład przedstawicieli narodu, zajęci są wówczas innemi sprawami: wszystko to znużyło ich okropnie i zmęczyło, opanowało ich rozleniwienie: więc się porozchodzili — jedni zjeść obiad, inni, by posiedzieć na tarasie lub w palarni gdy zajdzie potrzeba, postawiają się aby uczestniczyć w głosowaniu. Ale o tem, co było, właściwie przedmiotem obrad i o przebiegu debat w izbie będą oni wiedzieli akurat tyle co wie dnia następnego każdy czytelnik gazet, jeżeli od niechcenia rzuci okiem na szereg zupełnie dla nich niezrozumiałych cyfr i zupełnie nieznanymi nazwiskami.*

Widzimy więc, że obraz naszego sejmu nie jest znowu tak wyjątkowy. Nasz sejm był tylko mniej wyrobiony, mniej kulturalny, a więcej niespokojny, nerwowy, impulsywny i awanturniczy. Obradujące zgromadzenie z kilkuset ludzi zawsze jest wiecem i podlega prawom psychiki tłumu, czy to będą w większości profesorowie i uczeni, jak w parlamencie Frankfurckim w r. 1848, czy studenci, czy wyborcy z Pipedówki.

Wielką wadą parlamentaryzmu współczesnego jest brak wybitnych indywidualności, niski poziom przedstawicieli ludu, dyletantyzm, brak fachowości i kompetencji. Największe szanse być wybranym ma człowiek umiejący wpływać na masy, demagog, działający na psychikę tłumów, schlebający ich instynktom lub rozporządzający wielkimi środkami pieniężnymi. Ale to wszystko nie daje jeszcze umiejętności sztuki rządzenia. Praca sfery politycznej nie różni się od każdej innej pracy systematycznej i regularnej; skuteczność jej zależy od tych samych przyczyn: *wyszkolenia i specjalizacji.* Dlaczego dobór kierowników państwa współczesnego ma być bardziej zaniedbany, aniżeli dobór kierowników laboratorium lub fabryki? Dlaczego miałby on być tem bardziej pozostawiony przypadkowi, im trudniejszym staje się zadanie? Tajemnicą doskonałości prawodawstwa rzymskiego była specjalizacja organizmu prawodawczego. Tajemnicą wpływu, jaki wywierał senat rzymski, był system jego rekrutowania wśród obywateli, którzy nabyli potrzebne doświadczenie i umiejętność rządzenia w pomyślnem sprawowaniu najtrudniejszych czynności. Tajemnicą żywotności dawnego ustroju parlamentarnego angielskiego była wytworzona specjalizacja klasy politycznej, która nauczyła się administrować krajem, administrując najprzód gminą, potem hrabstwem, która tam — w samorządzie lokalnym — miała sposobność przestudjowania i stosowania ważnych sprężyn mechanizmu państwowego.

Znany uczoney belgijski powiada, i trudno z nim się nie zgodzić, że wszyscy ludzie nie są jednakowo uzdolnieni do kierowania społeczeństwem, bo w przeciwnym razie dostateczne byłoby losowanie. Tymczasem najradykałniejsza

demokracja nie zadawalnia się już losowaniem. Nawet najbardziej demokratyczny parlament dopuszcza dobór lepszych jednostek. Dobór kandydatów do współczesnych sejmów czy parlamentów nie może być idealnym, nie może wychodzić poza przeciętność, gdyż jest wynikiem techniki i organizacji stronnictw. Sejm pozornie tylko reprezentuje naród; w rzeczy samej naród niema wcale decydującego głosu w wyborach i nie posiada nawet żadnego wpływu, gdyż właściwie naród ma tylko wybór między kandydatami, których mu stronnictwa przedstawiają. Gorliwi członkowie stronnictwa, tak zwane „gwardje pretorjanów“, za pomocą komitetów wyborczych, organizowanych bez żadnego wpływu wyborców, wysuwają kandydatów, a właściwi wyborcy mogą tylko oznaczyć, czy wolą być przedstawieni przez kandydatów, przypuścimy dwójki, czy 8-ki, 12-ki, lub 16-ki. I. najczęściej słyszy się takie rozmowy: „nie wiem, na kogo mam głosować: program listy № jest dla mnie najsympatyczniejszy, ale znaczna część kandydatów nie wzbudza zaufania, niektórzy są skompromitowani, niemożliwi. Odwrotnie programu stronnictwa nie podzielam, ale lista jest wcale przyzwoita; mają tylko paru niedołęgów, jednego lub dwóch spekulantów, reszta to ludzie uczciwi i mocne głosy.“ I to samo prawie z każdą listą — dla obywatela bezpartyjnego. Bo partyjnik, szczególnie z pretorjanów, w takie skrupny zwykle się nie bawi.

Wszędzie historję tworzy mniejszość; ta co myśli, pamięta, przewiduje, co organizuje celowo energję narodową, co daje impuls do czynu. Ta sama mniejszość wytwarza postęp etyczny, prowadzi naukę, stoi na czele rozwoju piśmiennictwa. Niebezpieczeństwem, jakie grozi demokracji, jest panowanie liczby i przeciętności. Niebezpieczeństwem, jakie grozi arystokracji, jest panowanie jednostek nieuzdolnionych. Indywidualności będą wyłaniać się tak długo, jak długo ludzkość nie będzie wyczerpana. Nie brać w rachubę wyższości we wszystkich dziedzinach, jest to dojść do beznadziejnego pesymizmu, do zastoju w stosunkach społecznych i do zaniku kultury. Promieniowanie wyższych jednostek leży w interesie tłumów, gdyż tłumy potrzebują pochodni. Prawa elity — w interesie ogółu — muszą być zapewnione.

Dr. Berceilius Parago.

Poglądy gospodarcze i społeczne Waltera Rathenaua.

III.

Czasy przedwojenne, ta epoka lekkiej pracy, taniego życia, powszechnego dobrobytu, niemal zbytku, nieograniczonego obrotu gospodarczego skończyła się bezpowrotnie. Kraje silnej waluty wykupują wszystko, co się da, w krajach waluty niskiej, naprzód starożytności, potem dzieła sztuki, majątki ziemskie, kopalnie, fabryki. Trzeba więc stworzyć ustawę, zabraniającą wywozu dzieł sztuki, ustawę określającą prawa cudzoziemców jako właścicieli i udziałowców krajowych przedsiębiorstw oraz ustawę o nabywaniu majątków ziem-

skich przez cudzoziemców. Każde działanie ludzkie przenika dziś wspólna wola, zasady moralne i poczucie odpowiedzialności, każde, z wyjątkiem gospodarczego. Gdyby ktoś powiedział, że ktoś chce kupić armatę, aby uczynić się niezależnym od służby wojskowej, wydawałoby się to nam śmiesznem. Nikt nie żąda dla siebie głównego toru kolejowego, nikt nie zakłada własnego systemu wymiaru sprawiedliwości dla prywatnego użytku. Tylko co do gospodarstwa wnawia się nam, że istnieje ono może tylko bez jakichkolwiek ograniczeń na podstawie wolnej konkurencji i stałej walki. Nie rozumie się dotąd, że i ono wymaga porządku, organizacji, przeniknięcia wszystkich szczegółów i solidarnej odpowiedzialności, tudzież że tylko wówczas, gdy działają te siły i prawa, może dokonać o wiele więcej, niż w epoce walki wszystkich przeciw wszystkim i że tylko uporządkowane gospodarstwo acz oparte na własności prywatnej, tak jak dzisiejsze uboższym warstwom przyniesie w miejsce ustawicznych starć wolną współpracę.

Zyjemy w czasach, które gardzą zasadniczym myśleniem, żywią się gazetami i każdy problem rozdrabniają na kwestje dnia. Z największym zapalem oddajemy się obronie interesów poszczególnych zawodów, nie starczy już nikomu sił do badania interesu ogółu. Biada temu, kto naruszy interesy tej lub owej warstwy społecznej lub grupy zawodowej. Ponieważ zaś każdy krok ku celom ogólnym musi paraliżować interesy jednostek, więc dzisiejszą politykę cechuje chodzenie w zyzaku i ciągle zawieranie kompromisów.

Nowe gospodarstwo wyjść musi ze zbadania obecnego stanu rzeczy. W pierwszym rzędzie rzucą się tu w oczy fakt, że mimo ogromnego postępu nauk technicznych fabryki często powstawały nie tam, skąd jest najbliżej do surowca lub półfabrykatu, do sił roboczych i środków produkcji, ale tam, gdzie je jakiś przypadek do życia powołał. Każde marnowanie rąk roboczych lub materiału jest atoli dziś nietylko sprawą prywatną, ale i publiczną. Nie wolno używać maszyny, która więcej zużywa węgla niż powinna, tak, jak nie wolno deptać po chlebie. Gdybyśmy mogli przy pomocy kontroli opartej na naukowych zasadach zredukować zapotrzebowanie węgla do połowy, a w ten sposób zyskali na inne cele zapas nieużytej pracy i zaoszczędzili kosztą transportu, mielibyśmy jako rezultat powiększenie zdolności produkcyjnych, oraz obrotów towarów bardzo znaczne.

Powtórę w wielkim przemyśle zachodzi potrzeba umiejętnego podziału pracy między przedsiębiorstwami. Produkcja masowa pociąga za sobą ogromne zmniejszenie kosztów, ogromną oszczędność materiału i czasu. Taka produkcja ogranicza się do pewnych nielicznych, ustalonych typów. Maszyna, której konstrukcja kosztuje 10,000, przy wyrobieniu 100 sztuk kosztować będzie tylko 2-3000. Mamy tego przykład na tanich samochodach Forda. W Ameryce i w Anglii ten podział pracy świeci najwyższe tryumfy w przemyśle tekstylnym.

Teraz przypatrzmy się drodze, jaką każdy towar odbywa od surowca przez półfabrykat do końcowego wytworu i od producenta przez grosiście, pośrednika, detalistę do spożywcy. Dawniej ten sam człowiek prowadził hodowlę pszczoł i wyrabiał świece woskowe, inny hodował owce i z ich wełny sporządzał sobie sam ubranie, inny znów ciął lasy i budował domy. Dziś każde istadjum wytworu wymaga odrębnego człowieka. Ten

sam podział pracy, który tyle korzyści przynosił produkcji, tyleż wyrządza szkody, jeżeli chodzi o kolejne stadja wytwarzania. Każdy etap produkcji przynieść bowiem musi możliwie wysoką korzyść poszczególnym wykonawcom. Stąd ten podział pracy wywołuje z konieczności ogromne podrożenie gotowego wytworu. Zapobiedz temu mogłaby oprócz koncentracji produkcji w nielicznych rękach jeszcze koncentracja niezależnych przedsiębiorstw, prowadzonych w tym samym duchu, czyli porozumienie, kartel, między wielkimi producentami.

Jeszcze fatalniejsze skutki pociąga za sobą droga, jaką odbywa fabrykat od wytwórcy do spożywcy. Moda, niszczenie części towarów, walka konkurencyjna wraz z kosztami werbunku klienta w drodze anonsów, reklamy i podróżyjących, straty wskutek udzielenia kredytu, kosztą składowe, transportowe i bankowe powodują wzrost cen o 100—200% w stosunku do cen pobieranych przez wytwórców.

Dawniej uważało się za rzecz obojętną, przy pomocy jakich surowców, krajowych czy zagranicznych, pracują poszczególne fabryki. Po wojnie pogląd ten uległ zasadniczej zmianie. Uznaliśmy, że surowiec krajowy, choćby tylko w przybliżeniu zastąpić mógł zagraniczny, winien mieć przed nim pierwszeństwo, nie wolno nam bowiem zatrudniać obcych robotników, płacić dewidend od obcego kapitału, jeśli tylko nie jest to absolutnie koniecznym. Przywóz z zagranicy musi być ustalony w pewnym *maksimum*, odpowiadającym *koniecznemu* zapotrzebowaniu. Maksimum tego niewolno będzie w nowym gospodarstwie przekroczyć, dopóki nasz bilans handlowy pozostanie biernym a nasza waluta mniej wartościową. Siły ludzkie powinny być tak obliczone, by nie było nigdzie ludzie zbyt liczni a wszyscy skierowani byli do produktywniej pracy. By to osiągnąć, żąda Rathenau, by rozpoczęcie danego przedsiębiorstwa zależało od oceny ze strony władz, czy ono czyni zadość potrzebie publicznej. Te samą kwestję przedwstępnie rozstrzygnąć by należało przed dopuszczeniem setek pośredników i agentów podróżyjących, których Rathenau szczególnie nie lubi tudzież takich kupców, którzy „żyją tylko ze spekulacji, dobrych okazji i handlu łańcuszkowego”. Jeżeli tego nie uczynimy, zagranica wykupi nas i pochłonie.

Niepodobna jednak mieć nadzieję wprowadzenia w życie tych doniosłych zmian, poki ludzie spodziewają się, że to, co było i minęło, da się przywrócić do życia. Tak nie jest. Droga nowych pożyczek, ceł, podatków i monopoli nie zrobi się już porządku. I tu Rathenau podaje wnioski reformy społecznej. Ocena ich wymagałaby napisania osobnej rozprawy. W tem miejscu poprzestaję na obiektywnym streszczeniu jego pomysłów, które jako pochodzące od człowieka znającego dokładnie i z praktyki całe życie przemysłowe, zasługują w każdym razie na głębszą uwagę.

Należy utworzyć, powiada, związki *zawodowe* wszystkich poszczególnych przemysłów tudzież osobne związki *przemysłowe*, obejmujące pokrewne i zbliżone przemysły, pierwsze w formie spółek akcyjnych, drugie jako związki przymusowe nie mające cech zarobkowych. Różnić się będą od istniejących, dziś tem, że celem ich nie będzie obrona własnego interesu, ale wspólne gospodarstwo. Związki zawodowe zamawiać będą u swych członków towary, przechowywać je i sprzedawać.

Ceny dla konsumentów tudzież dla przerabiających dany towar przed jego dalszą odprzedażą będą równe, ceny dla kupców inne, ale jedne i drugie z góry oznaczone. Rathenau jest więc zwolennikiem taryfy.

Związek zawodowy winien mieć prawo przyjmowania nowostępującego członka lub odmowy jego przyjęcia. Od niego zależy na zamykanie przedsiębiorstw nie rentujących się za odszkodowaniem. Poszczególne fabrykant nie ma prawa sprzedawania swoich wyrobów, prawo to wyłącznie służy związkowi zawodowemu. Wzajemnie za te przywileje związek powinien odpłacać państwu wysoki udział w zysku, dalszą część przeznaczyć na opiekę socjalną i podwyższanie płac, trzecią na obniżanie cen towarów, reszta zysku dopiero przypadłaby producentom. Nie możnaby powiada Rathenau, widzieć w tym pomysł powrotu do dawnych gild i cechów, bo tu właśnie nie chodzi o obronę interesu prywatnego, ale o stworzenie samorządnego organizmu bez biurokracji a z pełnym utrzymaniem inicjatywy prywatnej.

W związkach przemysłowych chodzi o użycie poglądu, ile i jakiego gatunku potrzeba w każdym przedsiębiorstwie szyn, kotłów, motorów, nici, chemikalijów, szkła i t. d., co umożliwi dopiero program wytwórczy na dalszą metę i rozdział produkcji między poszczególne fabryki. Zatem pójdzie zbędność utrzymywania dużych składów, zmniejszenie kosztów transportu, przyspieszenie pracy, oszczędzenie kapitału i procentów i jednocześnie powiększenie produkcji wraz z obniżeniem cen. Gdy w ten sposób ryzyko produkcji odpadnie, dopiero stanie się wykonalnym na większą skalę obrót bezgotówkowy.

Myśl usunięcia ryzyka z produkcji jest nie nowa; czy wcielenie jej w życie nastąpi z góry, jak to Rathenau proponuje, czy też z dołu, jak okazały w czynie spółdzielnie spożywcze w Anglii, zakładające wielkie fabryki, przyszłość pokaże. Przemysł eksportowy z pewnością (obrać będzie musiał drogę pierwszą, podobnie jak wielki przemysł chemiczny, elektryczny i maszynowy. Ale mimo to wątpliwe, czy w tych gałęziach przemysłu da się kiedykolwiek usunąć ryzyko i obawy perjodycznych przesilen.

Mały handel detaliczny skazany jest również na wymarcie; do wielkich domów towarowych i wielkich spółdzielni jako dających towar lepszy i tańszy, należy przyszłość. Ale wzajemnie za monopol, który dają tym przedsiębiorstwom już same ich rozmiary, powinny mieć gminy zastrzeżony znaczny udział w zyskach.

Tym wszystkim projektom przeciwstawia się zasada wolnej konkurencji. Cóż na to odpowiada Rathenau? Wskazuje na to, że reprezentanci przemysłu chemicznego w Niemczech, największego na świecie, nie wchodził sobie zupełnie w drogę, ale się między sobą porozumiewają. Spółki akcyjne, które wstąpiły w miejsce przedsiębiorców prywatnych, poprzestając na zyskach mniejszych, powinny były wykazać niższy poziom zdolności gospodarczych. Tymczasem stało się przeciwnie: spółki akcyjne wykazały tyle poczucia obowiązku, odpowiedzialności, przywiązania do wytworzonego dzieła i bądź co bądź wyższą moralność, niż przedsiębiorcy prywatni, że nie należy się obawiać ujemnych skutków rozwoju we wskazanym kierunku.

Zarzuca się również ociężałość maszyny państwowej i przytacza na dowód gospodarkę wojen-

na. A jednak dostarczanie surowców od pierwszej chwili wojny było w rękach państwa i dopisało. Pozatem gospodarka wojenna tam tylko miała miejsce, gdzie największa po temu zachodziła potrzeba, nie wychodziła z jednolitego planu, była improwizacją. Pozatem to, co Rathenau proponuje, jest gospodarką prywatną z udziałem państwa, daleką od przymusowego zakładu państwowego czy kasarni komunistycznej. Całe indywidualne myślenie, całą odpowiedzialność utrzymuje się i nadal. Na śmierć skazaną jest nie inicjatywa prywatna, tylko walka o łup.

Niepodobna jednak na próbę przekształcać poszczególnych gałęzi przemysłu, próba taka nie mogłaby się udać, a w rezultacie pozostałby odstrasający przykład. Trzeba się zdobyć na przemianę całkowitą. Wojna przyspieszyła uświadczenie społeczeństwa o dziesiątki, może o setki lat. Zbyt wielkie były ofiary wojny, zbyt wielkie przeżycia, aby ogół poprzestać chciał na powrocie do dawnych stosunków.

Rathenau był wszechstronnie wykształconym, samoistnie myślącym człowiekiem i mimo, że od czasu do czasu puszczał wodze swej fantazji, umiał być także trzeźwym rachmistrzem i solidnym kupcem. Jako taki widział korzyść Niemiec w dotrzymywaniu przyjętych zobowiązań. Nienawidził junkrów i dał temu wyraz w szeregu swych wystąpień i rozpraw. Najlepiej określił się sam, mówiąc o ludziach, u których nagle urwała się tradycja przodków i którzy posiadając niezwykłą znajomość istoty własnej i cudzej, jednak nigdy nie identyfikują się z przedmiotem. Widzą wady każdego obrazu. Potrafią być kronikarzami i reprezentantami ducha swoich czasów, a nieraz i przepowiedzieć to, co przyjdzie. (IV 212). Nawet entuzjazm takich ludzi wywołany jest ich silną wolą, ich umysł stoi poza wszelką społeczną. Jest to tragizm rasy, która zanadto nasiąknęła cywilizacją zachodnią, aby odczuwać wspólność ideałów z prawowiernymi współwyznawcami, a jednak dzięki swej odrębności nie zdoła utożsamić się w pełnym zaparcia uwielbieniu z wytworami obcego ducha. To jednak, co ten patriota Niemiec, ten uczciwy człowiek, ten wybitny i bezinteresowny obywatel powiedział, daje i Niemcom i innym narodom w podobnym będącym położeniu szereg doniosłych wskazówek i stanowi dla nich temat do rozważań na najbliższą bodaj przyszłość.

Prof. Dr. Leopold Caro.

ALFRED de VIGNY.

III.

„Oryginalność Vigny'ego polega na tem, że był on wybitnym charakterem, co u poetów rzadko się zdarza. Różni się tem od romantyków, w szczególności zaś od Byrona, którego przedewszystkiem temperament cechuje“. Z tego wywodzi p. Estève i ową „sztywność“ Vigny'ego — jego postaci i poezji.

Tak było istotnie. Silny charakter opanował uczuciowość i myśl nakłonił do żelaznej konsenkencji — nie cofała się ona u poety *Przeznaczeń*, co zwłaszcza w utworach religijnych poety uderza i fascynuje.

Już Montégut wskazywał na to, jakiegoby świat miał poetę, gdyby myśli Vigny'ego został dodany temperament Byrona. Jest to jednak

tylko hipoteza, wskazująca wszelako na to, w czym obaj byli silni i w czym słabi, a zwłaszcza na to, czego brakowało Francuzowi. Tymczasem rzeczywistość wykazała, że umysłowe właściwości Vigny'ego, oraz inklinacje jego charakteru, całe wewnętrzne moralne tło jego bogatej natury, o ile, z jednej strony są miarą wielkości i doniosłości jego poetyckiego dzieła, bo w nim się one ujawniły, o tyle z drugiej, były czynnikami psychologicznego rozkładu i mogły nawet całkowicie zniszczyć poetę i zdeprawować człowieka z chwilą, gdy w samotnym odosobnieniu, Vigny nie mógł odżywiać swojej natury, a pozostawił ją samej sobie.

Całe niebezpieczeństwo leżało w tem, że w oczach tego człowieka — jak mówi p. Lauvrière — charakter zdawał się posiadać o wiele większą wartość od rozumu, a piękno wysiłku ukazywało się, jako niewysłowienie wyższe od pychy pomysłowego jego wyniku.

Piękno pobudki, cud wewnętrznej samowystarczalności, potencjalna siła człowieka — to broń obosieczna. Ale jeśli Vigny, podobnie do Kanta na tej drodze osiągnął zwycięstwo, a na tem tle pomyślana, wzniosła koncepcja „ubóstwionego sumienia“ i „religja honoru“ wraz z „Bogiem idei“ czynią poetę wielkim na zawsze i mogą być uważane nawet za drogowskaz i przykład moralnej odwagi, to w życiu intymnym, poeta zetknął się z niebezpieczeństwem niemałym, gdy zechciał być zanadto zasadniczym i konsenkwentnym. Wszystko dobrze, ale nie wolno zabijać instynktu życia. Stoicyzm filozoficzny połączył się z rozegzaltowaną wyobraźnią samotnika-marzyciela, który spekulacją umysłową całkowicie nieomal zastąpił sobie rzeczywistość. Częściowo wykazałem to powyżej.

Szereg osobistych niepowodzeń życiowych, wyniosła koncepcja poetyckiego zawodu i wreszcie wybujały indywidualizm, podsycony wyobraźnią, która miała cechy mistyczno-zmysłowej egzaltacji, postępowo i coraz bardziej oddalały poetę od udziału w życiu rzeczywistym, coraz bardziej zasklepiły go w sobie.

I ten wielki, w wielkim stylu reformator, który ceniał teatr, bo mógł w nim w ciągu trzech godzin przemawiać do trzech tysięcy ludzi zmuszonych do słuchania, ten poeta, który marzył o przekształceniu stosunku społeczeństwa do poety, który tworzył monumentalne postacie żołnierza, Proroka Biblijnego, Rzymskiego Cezara, coraz bardziej oddalał się od życia rzeczywistego

Vigny, kilkakrotnie próbował brać udział w życiu społecznym, szukał kariery wojskowej i dyplomatycznej, tentował nawet o mandat poselski, ale jakże niefortunnie zabierał się do tego i zawsze z uśmiechem sceptycznej pogardy na ustach, — sam nie wierzył w pomysłny rezultat tych prób.

Coraz uporczywiej uciekał Vigny do świata swej wyobraźni, która w końcu prawie całkowicie zastąpiła mu rzeczywistość.

„Niewidoczne jest rzeczywistym, dusze mają swój świat“, czytaliśmy w „*Domku Pasterza*“. „Piszę nie dla sławy, lecz dla szczęścia natchnienia; jego rozkosz o wiele jest większą od

rozkoszy fizycznej, która nas upaja w objęciach kobiety“. Rozkosz duszy jest dłuższą... Ekstaza moralna jest wyższą od ekstazy fizycznej“. Takie myśli znajdujemy w *Cinq-Mars'ie*, *Stellu*, *Dzienniku* i w *Chattertonie*. Z tem ściśle związała się koncepcja poetyckiej inspiracji i samego procesu poetyckiej twórczości. Pamiętamy, jak Vigny wysoko i wzniosłe rozumiał misję poety i co dla niego znaczyła poezja; tu chce wykazać, że życiowo, dla niego, jako dla człowieka — znaczyła za wiele.

Poeta, wedle Vigny'ego, w fazie poetyckiego natchnienia jest jakby w medjumicznym transie, jest on nieodpowiedzialny i właściwie bierny; pasywnie przeżywa ten stan. „Dokąd zaprowadzisz mię, woła Vigny, o namiętności myśli, dokąd mię zaprowadzisz?“

„Duszo rzucona na wiatry, jak Franciszka z Rimini! Twoja duszo, o *Francesca* unosiła się trzymając w swych objęciach ukochaną duszę Paolo: moja dusza podobna do twojej“.

Stosunek Vigny'ego do Muzy ma cechy zmysłowego stosunku.

„Posiadam Ideę“ pisze on w jednym miejscu; „z inną spędziłem wiele nocy“, znowu w innym „Dzięki Ci Boże, dałeś mi wyobraźnię za kochankę“, woła w uniesieniu. *Eloa* to jego Psyche, dziecko takiego mistycznego związku.

Ale słusznie zauważa p. Lauvrière, który podaje jeszcze większą ilość podobnych świadectw, że taki stan był niebezpieczny. Dla młodzieńca byłby szkodliwy, dla dorosłego mężczyzny — zabójczy. Ekstatyczne przeżywanie natchnienia, którego poeta nie realizował, albo bardzo rzadko, i systematyczne powtarzanie tej rozkoszy, samotnej, pozbawionej nawet i Galatei, bo „kochanką“ była „Idea“, zabijały twórczość samą, niszczyły jej siły, gubiły jej zdrowie. Wieczny stan przeżywania in potentia wszystkiego, doprowadzały poetę do poetyckiej bezsilności. Poeta stał się swego rodzaju Don Juanem idei, coraz to nowe zwycięstwa i tryumfy święcił w świecie swej wyobraźni, aż wreszcie musiała nastąpić „ostatnia miłość“ Don Juana. Tą ostatnią miłością dla Vigny'ego, było milczenie. „Tylko milczenie jest wielkie“ pisał poeta w pięknym wierszu i zamilkł na długo.

Oderwany od życia, nie obserwując go pilnie, nieprzywiązany do niego — nasycił wyobraźnię, wrażliwość i pomysłowość poetycką wyłącznie własnym, wewnętrznym pokarmem. Nie odnawiał ani wspomnień, ani wrażeń — zresztą „wszystko pamiętał i o wszystkim zgóry wiedział“.

Chętnie dostosywałbym do poety jego własny wiersz:

„Sam, zawszem sam, wiekiem i bólem zwy-
[ciężony
Umieram pod ciężarem lat, choć nigdy nie
[żyłem“.

Poetyckie natchnienie u Vigny'ego, jak można już było zauważyć, zwłaszcza w ostatnich czasach twórczości naszego poety, miało cechy dionizyjskiego uniesienia. Poeta pasywnie poddaje się tej ekstazie. Ale jeśli tak, jeśli poeta jest bierny, to w takim razie i samo natchnienie jest tylko przypadkiem, poeta *twórczo* w nim udziału

nie bierze? *Ulega mu, przeżywa*, do apolińskiego górowania nad tym djonizyjskim szalem jednakże on się nie wznosi, jeśli wolno zastosować tu nietzscheańską terminologję. „Dokąd mię zaprowadzisz o namiętności myśli“ wołał Vigny, a gdzieindziej znowu tak się wyraził: „Piękno najwyższe jest ukryte i skończone, chowa się ono za zasłoną, którą rzadko podnosimy. Czyż wymyślić nie znaczy znaleźć? — Invenire — Invenire“. A więc znaleźć, nie stworzyć. Sztuka nie jest wiedzą, ale natchnieniem.

Ale obok tego wiedział Vigny, że prawdziwa poezja to *praca* w natchnieniu, że prawdziwy artysta jest panem natchnienia, nie zaś bezsilnym niewolnikiem, posłusznym rozkazom obcej i zewnętrznej potęgi: był przecie „rzeźbiarzem poezji“.

Poświęciłem kilka tych uwag późniejszemu okresowi życia poety, podczas którego był bezczynny, ażeby dać obrazek jednej z typowych romantycznych usterek. Istotnie, była to jedna z antynomji romantyzmu. Ale oczywiście nie tylko hipertroficznie rozwinięta wyobraźnia była przyczyną tej rozterki i spowodowała milczenie; sama stała się przecie ucieczką i ratunkiem. Wszyscy romantycy uciekali od rzeczywistości do samotności i medytacji, tylko może żaden z nich prócz Mickiewicza — myśli „o próżności twórczenia“ nie doprowadził do tej najdalszej konsekwencji. Wprawdzie była pewna różnica: Vigny do końca pozostał wierny swej kontemplacyjnej medytacji — Mickiewicz inaczej.

Jeżeli odważyłem się tutaj dokonać na postaci A. de Vigny tej, zresztą bardzo powierzchownej analizy, to w przekonaniu, że twórcy *Przeznaczeń* to ujmę nie przyniesie, a natomiast rzuci pewne światło na jeden z symptomów cierpienia, które dzisiaj wślad za pp. Seillère'em i Lasserre'em szczególnie chętnie nazywamy „romantyczną chorobą“. aczkolwiek ta „choroba wieku“ była dobrze znaną i samym romantykiem.

* * *

„Gdy patrzyłem na wspaniałą otaczający mnie kraj, gdy widziałem morze, wyspy i wybrzeża, obudziło się we mnie pragnienie ożywić tę wspaniałą przyrodę dostojnymi postaciami poezji, stworzyć tutaj dzieło w duchu i tonie, które dotąd nie były mi znane. Jasność nieba, powiew morski, owa mgła, w której góry, morza i niebo tworzą jakby jedną całość, wszystko to dało pokarm mej wyobraźni i gdy przechadzałem się w pięknych ogrodach, w otoczeniu żywopłotów z kwitnącego oleandru, gdy patrzyłem przez liście drzew cytrynowych i pomarańczowych, gdy widziałem i inne, nieznanne mi drzewa i krzewy, odczuwałem wpływ niezwykły tej natury na to, co jest mi najdroższem.

Ale przekonałem się także, że nie znajduję też nigdzie lepszego komentarza dla Odysei, jak ten, który mi daje właśnie ta przyroda, gdzie stała się dla mnie Odyseja prawdziwem i żywem słowem.“

Tak pisał Goethe o Sycylii.

Ażeby pojąć „prawdziwe i żywe słowo“ poezji Vigny'ego nie trzeba iść śladami Goethego, gdy chciał on zrozumieć piękno i prawdę Odysei. Nie na piękne wybrzeża i nie do

uroczych ogrodów należy kroki swe skierować. Natura byłaby tu złym komentarzem. Stosunek ten jest indywidualny. Przecie jedną z najwybitniejszych cech romantyzmu, a przedtem i sentymentalizmu był naturalizm. Romantycy lubili naturę i chętnie z nią obcowali. Początkowo egzotyczna przyroda przykuła do siebie ich zachwyconą uwagę. Znajdujemy to już u t. zw. preromantyków: Bernardin de St. Pierre i Chateaubriand szukali natchnienia w egzotycznych krajach i na „łonie przyrody“ odpoczywali od cywilizacji.

Przed nimi jeszcze wyśpiewał swój hymn do natury Rousseau, w swych *Marzeniach*, a wraz z *Nową Heloizą* z majestatycznego pejzażu Alpejskiego spadła na poezję francuską cała lawina nowych estetycznych pojęć i wrażeń. Wreszcie wkrótce po podróży Chateaubrianda do Jerozolimy dochodzą burzliwe echa, tajemniczych, a tak powabnych, otoczonych królewskim przepuchem poetycznego piękna wschodnich wycieczek i podróży Byrona, a wnet za nim podąża Lamartine, Hugo daje swoje *Orientales*. Nodier także lubuje się w podróżach i egzotyzmie — słowem natura taka, czy owaka już jest w literaturze. Jeśli Alpy, lasy amerykańskie i białe marmry Hallady nie przybiegły do Paryża, to Paryż ruszył, zobaczył i zapamiętał. Poeci powrocili z tych wycieczek i przewieźli z sobą sakwy napełnione nowem złotem, które na długi czas zastąpiło wytarte i podarte banknoty dawnej literackiej wymiany.

Obok egzotyizmu mamy rzeczy rodzime — *Harmonje, Medytacje* Lamartine'a, *Noce* Musset'a i po *Poematach Wschodnich* daje Hugo *Liście Jeesienne, Głosy wewnętrzne* ze znanym holenderskim pejzażem — mam na myśli poemat o *Krowie*.

Vigny stanowi wyjątek. Vigny był romantycznym poetą. Dał ówczesnemu teatrowi kilka „nowych“ dramatów, z których jeden, *Chatterton*, jest, jak sądzi p. Lanson, arcydziełem romantycznego teatru. Dał śliczną komedję w stylu Musset'a, tylko bardziej arystokratyczną w pomysle i tonie. Napisał powieść walter-scottowską i w tym względzie był także prekursorem — wyprzedził Hugo.

Wreszcie dał publiczności francuskiej przekłady Shakespeare'a. Był niezawodnie romantycznym poetą — w poezji jego nie znajdujemy jednakże poczucia piękna natury. Jest ona nieobecna. Był dla niej obojętny. „Żegnaj piękna naturo“ wyrzekł Cinq-Mars, opuszczając wieś i nie wrócił już do niej; nie wrócił do „pięknej natury“ i autor.

Vigny na łonie natury odczuwał samotność i samotność przykrą. Wiemy już, że dla Vigny'ego przyroda — to wróg człowieka — „zimna natura obojętna jest dla nas“, głosił poeta. Jest ona tylko dekoracją, której trwanie i ciągłość są bezcelne“.

Jeśli więc romans z „Ideą“ był radosny i szczęśliwy, to współzycie poety z naturą „miodowym miesiącem“ nazwać nie można.

Pomimo, że Vigny pochodził z wiejskiej arystokratycznej rodziny, że posiadał w „Ogrodzie Fzancji“ — w Touraine nad Loire'ą średnio-wieczny zameczek, w którym często zamieszkiwał, jednakże natury nie rozumiał i nie lubił,

był człowiekiem miejskim, człowiekiem Paryża.

I chociaż pisze w jednym ze swych listów, że lubi albo Paryż, albo prawdziwą wieś, a pisząc ze wsi nastaje, iż nie chce nadal zostać w swych „georgikach“, to jednak była to raczej tylko afektacja. Vigny nawet, gdy przebywał na wsi, mało z niej korzystał, a jeszcze mniej ją wspominał i pamiętał o niej. To nie Mickiewicz, który w Paryżu tęskni za Litwą i nie Lamartine, i nie Puszkina.

Vigny przeważnie, gdy był na wsi, spędzał czas w ulubionej samotności, ale... „przy lampie“, a w ciągu dnia był przy żonie zawsze chorej.

Zresztą trudno jest znaleźć wiele śladów przywiązania do wsi w jego poezji. Nawet w powieściach Vigny'ego brak opisów natury, prawie zupełny.

P. Dupuy, bardzo detalicznie rozpatrzył wszystkie powody tej niechęci, znalazł wszelako kilka ustępów i w poezji i prozie Vigny'ego, w których krajobrazy mają wolor estetyczny.

P. Dupuy wskazuje nawet dramatyczną rolę natury w *Cinq-Mars'ie* i jej, że tak powiem „asonansy“ z psychologią bohaterów w *Niewoli* i *Wielkości żołnierza*. Na pewien ustęp w *Cinq-Mars'ie* wskazywał także i Sainte-Beuve.

Nie trafia mi to jednak do przekonania. Vigny przyrody nie czuje i nie umie jej opisywać, nie umie jej także i tworzyć.

W *Eloi* krajobraz jest sztuczny, płaski i napuszony zarazem, zimny, aczkolwiek obcuje tam chwilami z naturą egzotyczną „strefy gorącej“. Nie widział jej—są to obrazy zdjęte z Chateaubrianda i innych. W *Domku Pasterza* opisy są konwencjonalne i pozbawione właściwie wszelkiej oryginalności. Zawsze spotykamy się tam z takimi określeniami, jak „szmaragdowy gazon“, „gęsty gaj“, „ciemny płaszcz zmroku“ i t. p. W *Stellu* natura jest wogóle nieobecna. W *Niewoli* właściwie również, w *Daphné* to samo, wreszcie w poezji, jeśli ją spotykamy, to przeważnie jako krajobraz biblijny.

Trudno jest o nim powiedzieć „Fortunatus ille deos qui novit agrestes“. Działy tu rozmaite czynniki.

Vigny, jak Leopardi, był zasadniczym, że tak powiem, filozoficznym przeciwnikiem natury, widział w niej żywioł złoczynny, z którym człowiek prowadził walkę nieustanną. W *Domku Pasterza* wypowiedział się w tym względzie programowo.

„Zyj obojętna naturo i bezustannie odżywaj

Kocham majestatyczność cierpień człowieczych
Ty zaś, nie będziesz miała ni jednego okrzyku
miłości ode mnie“.

Ale prócz tej rozumowej przyczyny były inne. Powtarzam, Vigny fizycznie nie lubił natury. W listach czytamy następujące ustępy: „Widziałem dzisiaj obrzydliwą jutrzenkę, której nienawidzę“, pisze on do swej kuzynki hr. Du Plessis. Wprawdzie tłumaczy nam Vigny, że zbyt często widział jutrzenkę przy łożu chorych i stąd ta nienawiść. W liście do Augusta Barbiera znowu taki ustęp: „Winszuję ci, mój drogi przyjacielu, że nie słuchasz już jak krople

deszczu spadają na drzewa i w błoto małych ścieżek w gęstwinie zielonej natury, gdy smutna jutrzenska razi nas oczy swymi starymi różowymi palcami i rzuca biały całun na góry“.

Do tejsze hr. Du Plessis powiada Vigny, że „moje drzewa nic nie mówią i są równie głupie, jak i Twoje“. Jest to zasadnicza niechęć. W pewnej mierze tłumaczy nam ją następujący ustęp z *Dziennika*: „O ile o mnie chodzi, to przywiązałem się do Paryża, takiego jakim jest... natomiast wieś, której opisy pełne miłości dla niej, czytałem w książkach, ukazała mi się już od dzieciństwa, jako bardziej ponura od czarnej stolicy Francji. Prowincja Beauce była ojczyzną moich ojców... mieszkała tam moja ciotka, do której zwykle na jesień woził mnie ojciec. Zawsze widziałem deszcz, błoto i pożółkłe liście w polu, ostre wiatry, zwłaszcza wokoło zamku, w którym zrywały stare tapety“.

Wreszcie — jeszcze jedna przyczyna niechęci do natury: dobrze nam znana „abstrakcyjność“ Vigny'ego. Vigny był samotnikiem, zajętym życiem wewnętrznym — nie chciał wrażeń zewnętrznych, unikał tego. O życiu i rzeczywistości poeta wyrobił sobie oderwany, teoretyczny sąd, a nie kontrolował go doświadczalną metodą w realnym życiu, nie szukał potwierdzenia w otoczeniu, nie pragnął także i podnieć zewnętrznych.

Dlatego postaci jego utworów tak mało widzą, one myślą przedewszystkiem, z myśli ich uczucia się rodzą, stają się ogniem wewnętrznym, który się jednak na zewnątrz nie wydobywa, którego nic nie zgasi, nic nie pocieszy ich smutku, W życiu są lunatykami. Takim jest *Chatterton*, wszyscy w *Niewoli*, w *Stellu*, w *Daphné* i w *Cinq — Mars'ie*.

Vigny sam pisze w swym *Dzienniku*, że podróz dla niego jest bezcelową, bowiem on wszystko zna i myśl jego wszędzie już była. „Jakaż ziemia byłaby dla mej myśli dostatecznie nową, by ją zadziwić? Gdzież jest ten kraj, którego by nie mogła ona odmalować zawczasu, nie widząc go wcale? Jakiż kraj mógłby do tego stopnia przykuć do siebie moje spojrzenie, by oderwać je od niebia, a czyż niebo nie jest wszędzie? Usiądź więc, podnieś głowę ku niebu, patrz i myśl“.

„Usiądź... patrz w niebo i myśl“. Tak się żadnego krajobrazu nie stworzy—ma to jednak i głębsze znaczenie: wszystko jest próżne i daremne, prócz myśli naszej.

Sztuka Vigny'ego nie była obserwacyjną, manjera realistycznego rysunku była mu obcą a w każdym razie była tylko środkiem, bo przecie sztuka Vigny'ego zawsze i we wszystkim jest symboliczną.

Dotyczy to nie tylko przyrody, ale i wogóle świata zewnętrznego, zwłaszcza „codzienności“, dotyczy to także wewnętrznych dziedzin człowieka; dokładnej i oryginalnej analizy psychologicznej u Vigny'ego nie znajdujemy. Piękno i wielkość poezji Vigny'ego ukrywają się gdzieś indziej.

(D. n.).

Wacław Lednicki.

Z PIŚMIENICTWA DLA MŁODZIEŻY. ODEZWA MŁODZIEŻY NIEZALEŻNEJ.

I.

Hasła zasłużonego na polu literatury dziecięcej T-wa Wydawniczego, że umysłem w fazie rozwoju dawać należy tylko rzeczy najlepsze, zawdzięcza doniosły ten dział piśmiennictwa naszego kilka cennych znów nabytków.

Przedewszystkiem więc nową powieść *Janusza Korczaka: Król Maciuś Pierwszy*. Stanowczo rzec można, że autor prześcignął tym razem samego siebie. Oryginalnie pomyslane dzieje rządów Króla Maciusia, jego przygód wojennych, podróży, odwiedzin u ludożerców, jego reform, a nade wszystko urabiania się własnego jego umysłu i serca, nietylko tchną właściwą autorowi głęboką znajomością i ukochaniem duszy dziecięcej, lecz zarazem tryskają taką pełnią humoru, że najnowszy ten utwór Korczaka pozostanie niewątpliwie jednym z jego arcydzieł. O jedno tylko posprzeczałabym się z autorem. Niesłusznie oczerzania on przed dziećmi dorosłych, mówiąc, że „nie powinni czytać jego powieści, bo są w niej rozdziały niestosowne, więc nie zrozumieją i będą się wyśmiewali.“

Nie „wyśmiewać się“, ale zaśmiewać się do łez z Dickensowskich iście pomysłów będą do rośli, którym śliczna ta książka do ręki wpadnie.

Szczęśliwą myśl miała p. J. Mortkowiczowa zebrania i przełożenia rozproszonych po kartach twórczości *Selmy Lagerlöff* reminiscencji z własnych jej przeżyć i wrażeń i połączenia ich w jedną pamiętnikową całość pod nazwą „*Wspomnień*“. Surowy pedagog oponować gotów może przeciwko poddawaniu młodzieży wiary w przepowiednie, czynić książce zarzut z baśniowego, owianego tchnieniem mistyki, jej charakteru, dla literackiego wszakże krytyka są to czynniki, przemawiające raczej na korzyść książki, niż przeciwko niej. Czy należy zaś do utworów, przeznaczonych dla wysubtelnionej wrażliwości umysłów młodocianych, inną przykładać miarę, niż do wszelkich wogóle dzieł sztuki? Talent, piękno i prostota i tu jedyne są kryteriami oceny; one jedynie o wartości dydaktycznej utworu stanowić mogą. Z tego stanowiska ujęte są „*Wspomnienia*“ *Selmy Lagerlöff*, zwłaszcza poszczególne ich karty, nade wszystko zaś niezwykła w koncepcji swojej, szlachetnie prosta i do głębi wruszająca „*Mowa wygłoszona przez laureatkę w Akademii po otrzymaniu nagrody Nobla*“ oraz dwa profile: *historyka Andersa Fryksella* i *Mytyldy Wrede* — opiekunki więźniów — cenną wielce dla starszej młodzieży książką. Do jej walorów dodatnich zaliczyć też należy wielką staranność przekładu.

Wybitnie literacką i pedagogiczną również wartość ma ogłoszona drukiem w wydaniu drugim „*Historia młodego życia*“ *Otona Ernsta*, słusznie przez niego nazwana „*Książką dla dorosłych i dla młodzieży*“.

Natomiast książkami o dzieciach, lecz mniej nadającymi się dla nich, są ogłoszone w trzecim wydaniu „*Piskleta*“ *Zofii Rogoszówny*, oraz w wyd. drugim przepiękna lecz przesmutna — i stąd dla młodzieży nieodpowiednia „*Książka o małym braciszku*“ *Gustawa of Geijerstama* we wzorowym przekładzie *Marji Zabojeckiej*.

R. Centnerszwerowa

Koledzy i Koleżanki!

Ostatnie wypadki rozbiły społeczeństwo nasze na dwa nieprzejednane, zaciekle zwalczające się obozy. Nie polemika w prasie, nie starcia parlamentarne, ale walki uliczne, pięść i gwałt stały się wyrazem zmagania politycznych.

A młodzież, ta słaba, nierozwinięta latorośl, ma tworzyć pierwsze szeregi walczących obozów! Tak chcą partyjni przywódcy!

Pobudliwość młodzieńcza, brak wyrobienia myślowego, nieznajomość istoty życia społecznego — oto, co ułatwia wyzyskiwanie młodzieży przez wytrawnych agitatorów. Nie baczą oni, że, zatruwając młode dusze fanatyzmem nienawiści partyjnych, popełniają zbrodnię, stokroć większą, niż ta, jaką w oczach ich jest postępowanie przeciwnego obozu.

Koledzy i Koleżanki!

Zwracamy się do Was, nie imieniem prawicy, lewicy czy centrum, ale jako ta grupa młodzieży, która nie dała opanować się gorączce walk partyjnych, która nie zapomniała, że jest młodzieżą.

Nie pozwólcie się wciągnąć w odmet walk politycznych, zachowajcie spokój, równowagę ducha, obserwujcie rozgrywane się przed Wami wypadki, aby wszedłszy w życie nie popełniać tych błędów, jakie popełniają zapewne nasi ojcowie, nie dajcie się werbować w szeregi walczących stron.

Obowiązkiem naszym jest kształcić się!

Politykę zostawmy ludziom dojrzałym.

Każdy z Was, uczestnicząc w ulicznych ruchach, kompromituje tylko młodzież.

*Akademicki Klub Młodzieży Niezależnej.
Organizacja Polskiej Młodzieży Niezależnej.*

TYGODNIK DOSTAW

we Lwowie, ul. Potockiego 26 i 38 telefon 259.

Czasopismo poświęcone Polskiemu Dostawnictwu i Odbudowie, rozpoczynając

15-ty rok istnienia

wyda z tej okazji „Na Gwiazdkę“ i „Nowy Rok“ 2 wielkie numery agitacyjne, które stanowią będą jak corocznie Przegląd Wielkiego Przemysłu Fabrycznego całego Państwa. Do ogłoszeń w tych numerach zapraszamy Polski Przemysł Fabryczny oraz wszystkie większe Instytucje bankowe i handlowe.

T-wo Wydawnicze Tygodnika dostaw

S-ka z ogr. odp.

Red. Marjan Wiktor Jaworski. Red. O. Morecki.

TYDZIEŃ POLSKI

Pismo bezpartyjne poświęcone zagadnieniom życia politycznego, społecznego i literackiego.
otwiera prenumeratę na rok 1923.

CZWARTY ROK WYDAWNICTWA.

Wstępując w czwarty rok istnienia, może **Tydzień Polski** z dumą wskazać na plon pracy podjętej na niwie przez lata wojny zniszczonej. Dążąc do podniesienia kulturalnego poziomu życia naszego, zwalczając wszelką demagogję sprawą czy zlewa idącą, zdołało pismo nasze skupić najwybitniejsze w Polsce umysły niezależne pod hasłami zjednoczenia sił narodowych, obrony państwowości, postępu demokratycznego i humanitarnego.

Nie należąc do żadnego stronnictwa, unikając w polemice wszelkiej animozji i zaczepiek osobistych, **Tydzień Polski** oświetla możliwie rzeczowo i wszechstronnie aktualne zagadnienia życia politycznego, społecznego i kulturalnego.

W przeświadczeniu, że najważniejszym zadaniem doby bieżącej jest uzdrowienie gospodarki państwowej i oparcie jej na trwałych podstawach, zwrócimy baczną uwagę na sprawy gospodarcze w kraju, oraz na życie ekonomiczne Zachodu i Wschodu. Wobec doniosłej roli, jaką odgrywają w gospodarce państwowej koleje żelazne wprowadzamy w piśmie naszym od 1-go Stycznia 1923 r. specjalny dział gospodarczo-kolejowy, którego kierownictwo obejmuje p. Juljan Tański.

W **Tygodniu Polskim** umieszczali prace następujący autorzy:

Prof. Jan Baudouin de Courtenay, Attilio Begey, prof. Fr. Bossowski, Witold Bunikiewicz, prof. O. Bujwid, prof. Leopold Caro, d-r. J. E. Chmielewski. R. Centnerszwerowa, Jan Dąbrowski, Marjan Dąbrowski, A. Diveky, Wł. Dzwonkowski, Julja Dicksteinówna, Marjan Dubiecki, prof. Roman Dyboski, prof. Jerzy Fiedorowicz, Wład. Güuther, Xawery Glinka, Wilmain-Grabowska, Tadeusz Gruzewski, d-r. T. Hryniewski, prof. Wład. Leopold Jaworski, prof. dr. Józefa Joteyko, St. A. Kempner, Feliks Kierski, St. Kotaczkowski, Edward Kozikowski, Leon Kozłowski, I. W. Kosmowska, Alexander Kraushar, d-r. Manfred Kridl, prof. Adam Krzyżanowski, Jan Kucharzewski, Luawik Kulczycki, Jerzy Kurnatowski, S. Kuruliszwili, Radostaw Krajewski, Lacour-Gayet, członek Erancuskiego Instytutu, Antoni Lange, Aleksander Lednicki, d-r. Wacław Lednicki, Jan Lorentowicz, Jan Lemański, B. Leśmian, Ernest Łuniński, Bolesław Lutomski, Jadwiga Marcinowska, Władysław Mickiewicz, Iza Moszczeńska, d-r. B. Motz, Jan Parandowski, P. E. Pawolini, prof. Leon Petrażycki, Stanisław Posner, Leon Pączewski, d-r. J. Polak, Aleksander Ringman, ks. arcybiskup Edward Ropp, W. Rogowicz, prof. M. Rostworowski, Wincenty Rzymowski, Gabriel Seaille (prof. Sorbony), prof. Józef Strzygowski, Leopold Staff, Eug. Świerczewski, Maciej Szukiewicz, St. Szpotański, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jan hr. Tarnowski, prof. St. Wędkiewicz, Marja Jehanne hr. Wielopolska, Adam Zagorski, H. Zahorska (Savitri), prof. Marjan Zdziechowski, prof. Tadeusz Zieliński, d-r. Józef Zieliński, Emil Zegadłowicz, prof. Fryderyk Zoll, Jan Żarnowski, J. Życki i inni.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ od 1-go Stycznia wynosi **miesięcznie 2000 mk., kwartalnie 6000 mk. za granicą podwójnie.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: cała strona 200.000 mk. 1/2 str.: 100.000 mk. 1/4 str. 50000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.